W NUMERZE: KONKURS LITERACKI „ARKONY"

ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 4-5 (19-20) BYDGOSZCZ — MAJ-CZERWIEC 1947 ROK II

Bolesław Srocki

BŁĘDY I ICH ŹRÓDŁA

„Co chce Boissy? *) męczę się pytaniem,
Jak prawa Izby i jak lewa strona...
Czy jest wcielonym epok urąganiem?...
— — — — — — — — —
Markiz Boissy, to przeszłość, co kona!..."
(Norwid)

Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych spoczywa dzisiaj w rękach zarówno dzielnego żołnierza, jak niewątpliwie człowieka wysoce dobrej woli. Są to wielkie zalety zarówno człowieka jak polityka. Jednak są to zalety nie chroniące od błędów. Petain czy Weygand byli napewno doskonałymi żołnierzami. Chamberlain był napewno człowiekiem najlepszej woli. Niemniej rezultaty ich postawy politycznej dość ciężkim brzemieniem zaciążyły na losach zarówno ich krajów jak Europy.

Nie mamy podstaw do oceny całości linii politycznej czy taktyki reprezentowanej przez Marshalla na Konferencji Moskiewskiej. Możemy sądzić jedynie o drobnym fragmencie tej taktyki, to jest o stanowisku reprezentowanym w sprawie zachodnich granic Polski.

I tutaj jasno sformułować należy: stanowisko Marshalla w tej sprawie zdaje się być zarówno poważnym błędem politycznym, jak przejawem częstego w wojsku zjawiska, to jest przecenienia mechanicznych doświadczeń i zasad przeszłości, przy równoczesnym braku właściwej perspektywy dla oceny istoty zachodzących przemian i przyszłego układu stosunków.

Zjawisko to występuje w sposobie przejścia do porządku dziennego nad zmianami ostatnich dwóch lat, traktowania sprawy tak jak by nie było Poczdamu, wysiedleń ludności niemieckiej i polskiego osadnictwa, a była jedynie mapa Europy Środkowej z roku 1939 i traktowany w oderwaniu od istniejących dziś warunków problem teoretycznego wykreślenia granicy pomiędzy dwoma państwami na tak obiektywnych, materialnych i pozahistorycznych przesłankach, na jakich można dokonać racjonalnego rozdziału sfery zainteresowań i wpływów pomiędzy dwoma

*) Hrabia Teofil Boissy d'Anglas, konserwatysta francuski, członek izby deputowanych w połowie XIX wieku.

Z TREŚCI NUMERU: **WILAM HORZYCA:** „WESELE" I MR. BABBITT. **BOGDAN OSTROMĘCKI:** PRZYMIERZE. **IRENA SŁAWIŃSKA:** PRÓBA EPOSU. **B. S.:** NA MARGINESIE. **ALFRED KOWALKOWSKI:** POEZJE ZIEM ZACHODU. **JAN BUŁHAK:** Z WĘDRÓWEK FOTOGRAFA. **ALEKSANDER DZIENISIUK:** SPÓR O CZŁOWIEKA. **J. SZCZAWIŃSKI, A. WIRTH, W. OLSZEWSKI, J. HERTEL:** POEZJE. **TADEUSZ ESMAN:** BYDGOSZCZ NA TLE WYPADKÓW 1946 R. **MARIAN TURWID:** ŚMIGA. **FR. SADOWSKI, J. CZERNI, W. DEGLER, J. GROTT:** POEZJE. **JERZY HOPPEN:** BRONISŁAW JAMONTT. **K. W. Z.:** MIĘDZY KRYTYKĄ A POETYKĄ (2). **WŁADYSŁAW DUNAROWSKI:** KUKUŁKA I SZPAKI. **ALINA CHYCZEWSKA:** „KOBIETY Z RAVENSBRÜCK".

ŚWIĘTY WOJCIECH W KRAJU PRUSÓW

Jedna z ośiemnastu scen żywota św. Wojciecha, wyobrażonego przez nieznanych artystów XII wieku na drzwiach brązowych katedry gnieźnieńskiej. Pierwszy polski epos plastyczny, bezcenny zabytek sztuki romańskiej.

przedsiębiorstwami przemysłowymi czy handlowymi. Więcej historycznego realizmu wykazał tutaj już Bevin, wyrażając imieniem Wielkiej Brytanii wątpliwość w odniesieniu do sprawy Śląska Dolnego, czy jest rzeczą możliwą powracać do nowego przesiedlenia ludności.

Wyrazicielem przeszłości i co najwyżej przejściowych warunków dnia dzisiejszego był Marshall również i wtedy, gdy za punkt ciężkości argumentacji o pokrzywdzeniu Niemiec przez dzisiejszą granicę przyjął tezę o konieczności wzmożenia warunków żywnościowej samowystarczalności Niemiec. Mechaniczny stosunek nabożeństwa do statystycznych mierników przeszłości, przy równoczesnym braku szerokich ujęć przyszłości, zaciążył tutaj wielorako: 1. przez przyjęcie gospodarczych rezultatów przeszłości, jako niezmiennych i wyznaczających przyszłe stosunki z fotograficzną dokładnością, 2. niedocenienie głębokiego w skutkach ludnościowego kryzysu Niemiec w wyniku ostatniej wojny *), 3. wzorowane na latach międzywojennych, lecz niezgodne z obecnym kierunkiem przemian europejskich wyolbrzymienie znaczenia zasady autarchii żywnościowej jako jednej z naczelnych zasad gospodarczych i politycznych, 4. niedocenianie historycznego znaczenia ewolucji, wykreślającej dzisiaj przyszłe trwałe granice pomiędzy Niemcami i słowiańszczyzną zachodnią na liniach, z których przed lat tysiącem wyszedł napór niemiecki przeciwko Polsce i Czechom, 5. niedocenienie znaczenia Odry, jako części wielkiego systemu rzecznego Odra—Dunaj, zarówno dla Polski, jak dla Czech, jak wreszcie dla całości obszaru naddunajskiego. Położenie na jednej szali wszystkich momentów zasadniczej natury historycznej, na drugiej — sprawy zwiększenia dzisiejszego areału rolnego Rzeszy o 5 — 8% i przyznanie wyższości tej drugiej szali jest przykładem nie tyle przewidującego i realnego, ile lekceważącego stosunku do historii **).

Jeszcze ostrzej paradoksalność sytuacji zarysowała się tu w stanowisku angielskim, ograniczającym zapędy Marshalla, lecz wysuwającym koncepcję powrotu do Niemiec kilku powiatów na wschód od Szczecina. Co to znaczy? Odebranie dzisiejszej granicy polsko-niemieckiej jej głębokiej logiki geograficznej, trwałe pozbawienie siedmiu państw systemu Odry i Dunaju (Polski, Czech, Austrii, Węgier, Jugosławii, Rumunii, Bułgarii) swobodnego wylotu Odry do Bałtyku — i to wszystko dla załatania przejściowych trudności sytuacji żywnościowej Niemiec przez zwiększenie ich areału rolnego o 2 — 4% nieświetnej rolniczo ziemi. W takim stanowisku trudno nie widzieć dziwnej niewspółmierności w sposobie traktowania spraw i potrzeb zagrażających sąsiadom Niemiec oraz spraw i potrzeb tych zagrożonych przez Niemcy sąsiadów.

Lecz tutaj można powiedzieć z taką szczerością, z jaką oświadczyła to część opinii anglosaskiej, że istota sprawy leży gdzieindziej, nie w stosunku do Niemiec i ich sąsiadów, ale w stosunku do Związku Sowieckiego. Anglosasi szachują Polskę i popierają Niemcy nie dlatego, aby kochali Niemców i nienawidzili Polaków, lecz dlatego, że widzą w tym możność pośredniego zaszachowania Związku Radzieckiego w okresie ogólnie prowadzonych rozmów, mających prowadzić do uregulowania spraw o światowym znaczeniu.

Koncepcji tej nie należy przeceniać, lecz również nie należy jej całkowicie odrzucać. Niewątpliwie w tym postawieniu zamyka się nie całość sprawy, lecz jej dość poważna część. Równocześnie jednak w takim zarysowaniu trudno nie widzieć cech dalszego i poważnego błędu politycznego.

Powojenne zbliżenie polityczne polsko-sowieckie jest naturalnym następstwem zmian terytorialnych, dokonanych przy pełnym poparciu obu anglosaskich mocarstw i nie bez poważnej z ich strony presji w tym kierunku. Zbliżenie to ma głębokie i mocne podstawy w konieczności trwałego zabezpieczenia się zarówno Polski jak Czech w stosunku do niebezpieczeństwa niemieckiego. Równocześnie jednak zbliżenie to niekoniecznie musi mieć charakter antyangielski czy antyamerykański. Przeciwnie, zarówno w interesie Polski jak Czech leży istnienie warunków naturalnej gospodarczej i politycznej współpracy i przyjaźni z obu mocarstwami anglosaskimi. W polityce obu tych państw i narodów niejednokrotnie były mocne i niedwuznaczne akcenty w tym kierunku. Dopiero taktyka Anglii i Ameryki w sprawie Niemiec i granic zachodnich Polski jest czymś, co nadaje polskiemu, a częściowo i czeskiemu, oparciu o sojusz ze Związkiem Radzieckim ostry antyanglosaski charakter. A to napewno nie jest wyrazem zamierzeń w okresie, w którym — rzecz przed wojną nie do pomyślenia — Anglia wydaje w stolicy Polski własne pismo, służące propagandzie angielskiej w społeczeństwie polskim, Ameryka okazuje Polsce daleko idącą i wysoce cenną pomoc charytatywną. Jednak żadne formy propagandowe, ani żadne przejawy pomocy charytatywnej nie mogą Polakom przesłonić faktu wejścia państw anglosaskich na tory zdecydowanie antypolskiej polityki w postaci zaszachowania naturalnych i już objętych granic polskich, w czym naród polski widzi pierwszy etap poparcia również i na przyszłość żarłocznego i niepohamowanego rewizjonizmu niemieckiego, ponowne zagrożenie biologicznych podstaw własnego istnienia.

Były premier Churchill powiedział w jednym ze swych wystąpień w Izbie Gmin zręczne i niepozbawione głębokiej słuszności zdanie o Polakach w czasie ostatniej wojny: „Nie ma cnót, których Polacy nie wykazaliby w czasie wojny, nie ma błędów politycznych, których by nie popełnili". Lecz jakżeż mogło być inaczej, gdy źródłem polityki polskiej od r. 1939 w tak wielkiej mierze była zależność od postawy naszych sprzymierzeńców anglosaskich. Postawa ta zaś w sprawach polskich daje się ująć w podobnej do churchillowskiej formule: „Nie ma wyrazów sympatii i uznania, których by Polsce ze strony anglosaskiej odmówiono, nie ma realnego zlekceważenia interesów polskich, którego by jej zaoszczędzono". Postawa obu państw anglosaskich w obecnej fazie dyskusji o traktacie pokojowym i granicach Polski jest w dalszym ciągu przykładem ciągłości tejże linii. Czyż można dziwić się, jeśli odbiciem tej postawy będzie krzewienie się dotychczas nie istniejących antyanglosaskich nastrojów w społeczeństwie polskim.

Oczywiście, dla obu państw anglosaskich, w szczególności dla Stanów Zjednoczonych A. P., stan nastrojów polskich w tym względzie może być obojętny, jednak tylko w jednym wypadku, to jest jeśli zdecydowanie staną na gruncie oparcia się o Niemcy, jako forpocztę interesów anglosaskich w Europie. Lecz to prowadzi w prostej linii do nowej wojny światowej, tak jak wzmocnienie Polski i państw wyzwolonych od faktycznej zależności od Niemiec jest podstawowym elementem wzrostu warunków utrzymania pokoju świata. Niedocenienie tego faktu byłoby najpoważniejszym błędem historycznym obu państw anglosaskich, błędem, za który w przyszłości zarówno Europa, jak cała ludzkość zapewne zapłaciłaby szczególnie wysoką cenę.

Bolesław Srocki

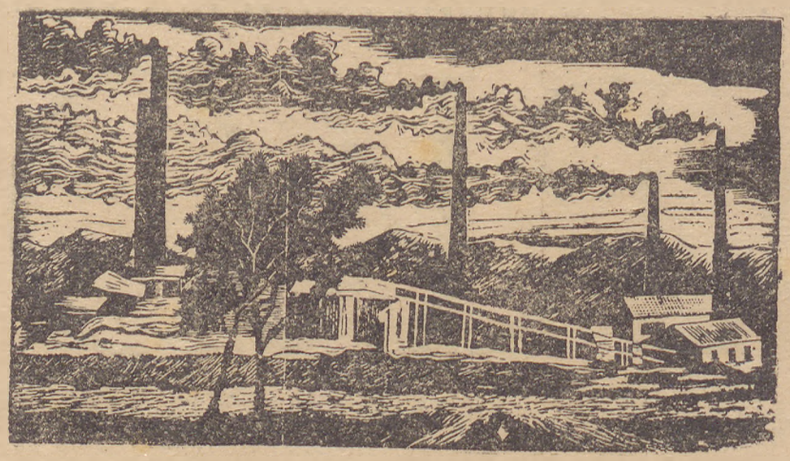

FRANCISZEK BURKIEWICZ

DYMY

Drzeworyt

*) Patrz — Bolesław Srocki: Nowa Polska i nowe Niemcy. Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego. Bydgoszcz 1947. Rozdział: „Przyszłość narodu niemieckiego" (str. 103 — 123).

**) Tego osądu nie może zmienić charakterystyczna dla rozumowania Marshalla swoista magia jednej liczby, owych 20% zmniejszenia podstaw żywnościowych Niemiec. Siłą tej liczby jest tylko błędność jej użycia. Nie można bowiem mówić o 20% środków żywnościowych Niemiec w związku z częściowym zepchnięciem Polski z danych jej w Poczdamie granic. Materialnym równoważnikiem dla Niemiec antypolskich zamierzeń Marshalla może być zysk żywnościowy, wyrażający się jedynie drobnym ułamkiem w ten sposób używanej liczby.

Alfred Kowalkowski

POEZJA ZIEM ZACHODNICH

Nieobfitujące nigdy w poezję nasze ziemie zachodnie i po ostatniej wojnie nie wydały znaczniejszego zastępu liryków. Takie przynajmniej wrażenie odnosi czytelnik śledzący uważnie wszelkie nowe wydawnictwa z tego zakresu. Zjawisko to być może złudne, winę bowiem ponoszą właściwie warunki wydawnicze, trudniejsze zdaje się niż kiedykolwiek, na skutek których niekiedy nawet wartościowa poezja nie trafia na półki księgarskie. Nie sposób wprawdzie przypuścić, aby po kataklizmie wojennym nastąpił nagły zanik liryki, gdyż jak wiemy z licznych świadectw i wspomnień, okres okupacji — nieprzychylny na ogół literaturze, mimo wszystko wydał dość bujny plon poetycki, niespokojne czasy wojenne sprawiły bowiem, że ten rodzaj wypowiedzi literackiej był bądź co bądź jeszcze najłatwiejszy i nawet można było czasami liczyć na ukazanie się wierszy w druku. Lecz mimo wszystko charakterystycznym objawem współczesnej literatury pozostaje fakt, że ani w liryce, ani w prozie nie zanotowaliśmy zbyt wiele rewelacyjnych debiutów. Tak więc ostatnie lata nazwać można raczej okresem, podczas którego literatura walczyła o przetrwanie. Okresem poważniejszego rozwoju czasy te nie były w żadnym wypadku. Na sąd taki nie wpłynie najprawdopodobniej istnienie — dość licznych może jeszcze — gotowych do druku zbiorów poezji.

Ziemie zachodnie nie należą w tej dziedzinie do uprzywilejowanych, stosunki tutaj są więc podobne, a nawet gorsze, literatura tutaj zawsze bowiem była mniej bujna tak ze względu na brak większych i posiadających tradycję środowisk kulturalnych, jak i z tego powodu, że społeczeństwo w ubiegłych stupięćdziesięciu latach skupiło cały swój wysiłek na sprawach gospodarczych. Było to konieczne, gdyż w tej dziedzinie zagrożenie polskiego stanu posiadania ze strony Niemiec było największe. Na polu kultury, aby dotrzymać kroku Niemcom, całą energię trzeba było zużyć na oświatę mas. Rezultat dzięki temu był nieco jednostronny. Przy stosunkowo dość wysokim poziomie oświaty, sprawy sztuki jednakże znacznie ucierpiały i jeśli nawet zainteresowanie kwestiami artystycznymi nie jest mniejsze niż gdzie indziej, to w każdym razie twórczość w tej dziedzinie pozostawia nadal wiele do życzenia. W dwudziestoleciu międzywojennym nie stało również czasu na znaczniejszy rozwój sztuki, okupacja zaś bezlitośniej niż gdziekolwiek dotknęła tutaj artystów, odbierając im najczęściej możliwość pracy w swym zawodzie. Trudno przypuścić, aby tam gdzie człowiek utracił dom, swobodę poruszania się, a przede wszystkim sposobność kontaktu z innymi artystami i wszelkie środki pomocnicze jak biblioteki i czasopisma, można było myśleć o poważniejszej twórczości literackiej, tym bardziej, że tajne wydawnictwa czy periodyki na miejscu należały do największej rzadkości a ukazujące się w centralnej Polsce docierały tu w znikomej ilości.

Pomimo to chwilę obecną, w której notujemy pewną stagnację w dziedzinie poezji, należałoby nazwać może przednówkiem poprzedzającym większy znacznie urodzaj na lirykę. Jeśli oczywiście nie jestem złym prorokiem, sytuacja wydaje mi się podobna w całej Polsce, niezależnie bowiem od faktu istnienia, czy też narastania poezji obrazującej przeżycia niedawnej przeszłości, trudno przypuścić, aby doniosłe problemy współczesności nie znalazły wkrótce odbicia w literaturze. A przecież poezja liryczna, będąca o wiele czulszym sejsmografem niż proza, wydaje się być powołana do sprostania wymaganiom rzeczywistości, tak jak umiała zadanie to wypełnić, mimo niezwykłych trudności, w okresie wojny i okupacji.

Cokolwiek powie się o liryce ostatnich lat, o jej ilościowo zbyt skromnym dorobku, albo o jej doraźnych jedynie ambicjach, pewne jest, że podołała ona swym obowiązkom wobec społeczeństwa. Zresztą w warunkach wojennych nigdzie chyba w Europie nie stworzono arcydzieł. I nie można też winić naszych poetów o to, że na potrzeby współczesności nie wypracowali nowych środków wyrazu, że nie powstał żaden nowy prąd literacki. Odcięci od głównych nurtów artystycznych kontynentu pisarze brnęli ostatnio niemal po omacku, to też postępu formalnego nie trzeba się było od nich spodziewać. Wszelkie nowatorstwo wymaga zawsze czasów spokojnych i jak wiemy, żadne wielkie rewolucje nie miały odrazu na swe usługi rewolucjonistów literackich. Eksperymentatorzy i ich szkoły, ich czytelnicy wreszcie muszą się uzbrajać w cierpliwość, której nie można żądać od nikogo w okresie dokonywujących się gwałtownych przemian. Nowatorstwo szuka dla siebie zawsze oddźwięku i możliwości porozumienia się z innymi pokrewnymi poczynaniami, z krytyką, z publicznością, przede wszystkim zaś musi ścierać się z istniejącymi współcześnie odmiennymi prądami literackimi.

Poruszone tu kwestie nie mogą przyczynić się w żadnej mierze do wydania jakiegoś wyroku potępiającego naszą poezję. Przeciwnie, wszystkie powyższe wywody służą na jej usprawiedliwienie, gdyż zatrzymanie się liryki w jej zwykłym rozwoju, wyszło jej raczej na dobre. Potrafiła ona dotychczasowe swe osiągnięcia formalne zużytkować w tematyce poważniejszej i głębszej niż w okresie międzywojennym, celem jej stało się niejednokrotnie wyrażenie uczuć zbiorowych oraz treści społecznej. Poezja nasza — trzeba to podkreślić z dumą — stanęła na szerszych, niż kiedykolwiek w poprzednich okresach, podstawach humanistycznego światopoglądu.

Nietrudno stwierdzić, wertując nowe tomy poezji, że z zadań, jakie pisarzom postawiła trudna nasza epoka, najlepiej i najwszechstronniej wywiązali się ci lirycy, którzy nie zamknęli się w ciasnych ramach dotychczasowych kierunków literackich, ani nie cofnęli się na dawniejsze jeszcze pozycje, lecz korzystając z umiarem z wszelkich dotychczasowych zdobyczy formalnych starali się najpełniej wyrazić przeżycia współczesnego człowieka. Stan obecny, widać to obecnie, nie nabrał napewno cech trwałości, bo nowe zjawiska już teraz domagają się od pisarza konstruowania innych form, w których epoka znalazłaby swe całkowite artystyczne odbicie, jednakże chęć przedstawienia teraźniejszości możliwie najprzystępniej ogółowi, przy tym jednak w pełnym jej blasku, usprawiedliwia w dużej mierze obecne współżycie tradycjonalizmu i awangardowości u poszczególnych poetów.

Miara współczesnej naszej poezji jest jej problematyka żywotna i odważna, a nie wyszukany artyzm, czy nawet wysokiej klasy artystostwo. W świetle tych kryteriów należy też rozpatrywać zjawiska poetyckie, występujące na zachodzie Polski, poeci tych ziem mają bowiem właściwie rozleglejsze nawet pole do popisu, tutaj

Franciszek Sadowski

KOŁYSANKA

Za jednym, drugim i za rokiem trzecim
dzień cmentarzami po zapłociach gasł;
a ranek już szukał
kukułeczki kukiem:
— matuś moja, matuś
ilu synów maszł

Płonęły miasta i codziennie wokół
garstką popiołów zarastała wieś;
a dzięcioł u sosen
zawołał — i poszli
przez zagony lasów
dzień zwycięstwa nieść...

Orały działa, samoloty siały,
a brzozowe krzyże wyrastały w brąz;
tylko u okienka
lulała panienkę
sroczka: — nie płacz córuś
Jasio idzie wciąż...

Nad modrą rzeką gdzie umilkła skarga,
w skamieniałym mieście bój wyrastał z dni;
a w końcu kamienie
rozpękły po ziemi
okrzykami dzieci:
— kulę dajcie mi!

Lecz słuchało niebo krwią wybrukowanych
ulic, ale potem ruiną padł zmierzch
i tylko po świecie
mały gołąbeczek
klangorem legendy,
poniósł wielką pieśń...

Pożary zgasły, a nieba przymierzem
i pracy — popiół zarośnie i krew;
już poranek woła
siewką na zagonach:
— siać wychodźcie ludzie
wychodźcie na siew...!

Józef Czerni

BIAŁE SNY

Białe sny plączą się pod nogami.
Wieczór źrenic wyśnił złoty sad.
Za najdalszym pociągów mijaniem
stoję: sosna płynąca w mgłach.

Wierzę — siebie na pewno przeminę.
Nie zostanie mi nic, ani dniom.
Słyszę: noc czyjaś podle mną płynie.
Widzę — smutek zwisnął u rąk.

Przyjacielu zamknięty przystanią!
Słowa moje są cierpkie i mdłe.
Powiłamy się tylko rozstaniem
poprzez miasta tęsknot czy wsie.

Dzwoni cisza stygnąca w mej krtani.
(Nie wiem kiedy odnajdę swój dom).
Spadam — kroplą chwil rzeźbiony kamień,
w płomień snów białych — czujny jak lont.

Witold Degler

DRZEWO

I cóż masz z tego, że wciąż wiersze piszesz!
pytają ludzie, co mnię nie rozumią.
Ach, nikt nie spyta, czemu drzewa szumią —
to takie proste: bo wiatr je kołysze!

Ja jestem takim rozszumiałym drzewem,
które nie śpiewa niczyim korzyściom —
tylko swym płaczem, tylko swoim śpiewem
szumi na ulgę gałęziom i liściom.

J A N B U Ł H A K

Z WĘDRÓWEK FOTOFRAFA PO ZIEMI ODZYSKANEJ

Dwoma poniższymi reprodukcjami najnowszych prac popularnego autora *„Estetyki światła"* rozpoczynamy druk obszernego cyklu obrazów fotograficznych użyczonych nam przez sędziwego mistrza fotografiki polskiej — ukazujących piękno i polskość ziem odzyskanych na północy i zachodzie.

Cykl jest wynikiem mozolnej wędrówki szlakami: przymorskim — od *Fromborku* do *Szczecina*, zresztą nie zawsze dosłownie przymorskim, bo obejmującym i Olsztyn i Lidzbark, Stargard i Bytów; i drugim: *wzdłuż Odry*. Zabytkowe kościoły, szczątki zamków piastowskich rozsiane po Pomorzu Zachodnim, miasta i wsie, nierzadko dotknięte ręką wojny — złożyły się na *dokument* badacza i *dzieło* artysty.

„GAJ ŚWIĘTEGO WOJCIECHA" POD GDAŃSKIEM dawne uroczysko pogańskie, miejsce męczeństwa „Apostoła trzech narodów" w 997 roku.

„SANCTI ADALBERTI AD QUERCUM" — tak nazywają stare kroniki i dokumenty kościół wzniesiony w XII wieku na miejscu męczeństwa, pozostający przez parę wieków pod opieką Benedyktynów z klasztoru w Mogilnie. Ulegał w czasie swego istnienia pożarowi (1537) i zniszczeniu, ponownie wzniesiony (1575) i przebudowany, poszerzony o kaplice i wzbogacony wieżą (1680) dotrwał szczęśliwie do naszych dni.

bowiem skupiły się najistotniejsze zagadnienia naszej rzeczywistości. Prawda, że tak jak postęp i rewolucja socjalna ogarnęły cały nurt życia istnienia i odbudowy państwa, naszej niepodległości i naszych sojuszów słowiańskich, tak i kwestia nowych granic na Zachodzie, zagadnienie piękna tych okolic i odwiecznych o nie walk, zagadnienie dziejów i praw Polski do Ziem Odzyskanych, sprawy morza i portów, pionierstwa i osadnictwa, przywiązania do polskości autochtonów, sprawa tworzenia się nowego typu człowieka wyzwolonego z przesądów dzielnicowości, wreszcie sprawa dalszego przeciwstawiania się niemczyźnie obchodzi jednakowo każdego Polaka i każdego pisarza. Jednakże literaci, poeci zamieszkali na zachodzie żyją niejako w samym tyglu tych wszystkich przemian, oddychają wichrem narastającej tu historii, są najbliżsi aktualnym zagadnieniom i oni właśnie powinni stać się ich żywym świadectwem w poezji doby obecnej.

Zbyt wielki to może ciężar spada na barki nielicznych narazie jednostek i trudno wymagać, aby poeci ci obowiązek ten całkowicie wypełnili Ale trzeba próbować, torować szlak,i wskazywać kierunek. Chwila dziejowa tego wymaga. Przeglądam dotychczasowe zbiorki, zeszyty i arkusze poezji, które ukazały się po wojnie od Śląska aż po Bałtyk i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że lirycy zachodni, poza nielicznymi wyjątkami nie sprostali dotychczas swemu zadaniu. Być może rozporządzam niekompletnym materiałem porównawczym, wszakże kontakty poetyckie są jeszcze bardzo utrudnione, obieg księgarski zbiorków lirycznych dziwne jeszcze wykazuje niedociągnięcia, rzadko przesyła się egzemplarze recenzenckie, jeszcze rzadziej ukazują sie omówienia nowych pozycji poetyckich. Ale chodzi mi też tylko o zgłębienie głównego nurtu tej poezji, o zarys bardzo ogólnikowy.

I tak Wojciech Bąk, autor „Piątej Ewangelii" i „Syna Ziemi" najlepszy niewątpliwie artysta z pośród liryków tutejszych, ograniczył się niemal wyłącznie do spraw metafizyki, do problemu człowieka wiecznego. Potomnych może będzie pasjonował jego wyprowadzony z wypadków dnia dzisiejszego czy wczorajszego humanizm „sub specia aeternitatis", nie może on jednak zadowolić ludzi żywych, współczesnych.

Jedyną pozycja, która odpowiada naszym wymaganiom, jest tom Wilhelma Szewczyka, pt. „Posagi". Wczesny to wprawdzie zbiorek, ukazał sie bowiem w pierwszym roku niepodległości, to też nie daje on jeszcze odpowiedzi na całokształt żywotnych zagadnień zachodniopolskich, lecz jest w nim tyle epickiego widzenia świata, jest człowiek tutejszy w walce, w cierpieniu i przy pracy, jest ziemia, przyroda i ojczyzna, jest wreszcie świadome wykuwanie rzeczywistości z kruszcu dziejów, że ten zbiór poezji, w którym pisarz zresztą niemal zawsze znajduje formę najwłaściwszą dla przepełniającej go treści, rozsadza swą problematyką zamierzoną w oryginale „śląskość" i przenosi nas z jednego regionu na teren ogólnopolski i ogólnoludzki. Pisarz, który nadal kontynuuje dotychczasową swą linię, słusznie więc może się dziś zaliczać do czołowych naszych poetów.

Śląsk zresztą najlepiej prezentuje się w swej poezji z wszystkich okolic zachodnich. Tu wymienić trzeba Zbyszka Bednorza „Strofy serdeczne", w nieociosanych, lecz często przejmujących właśnie tą szorstkością, rąbanych niemal na odlew zdaniach, obrazuje on bohaterstwo człowieka tej ziemi i pozwala wyczuć pulsujące w ludziach i w ziemi tętno czasu. „Arkusze" Jana Baranowicza, Aleksandra Widery i Aleksandra Baumgardtena powracają niekiedy do podobnych motywów, dochodzą do nich tylko nowe nuty. I tak Baranowicz wprowadza tu jeszcze nieśmiało sprawy chłopskie i rolnicze, a Widera przemysł śląski, ale w całości znać jeszcze wszędzie zarówno ciasność tematyki jak i niezharmonizowanie jej z forma. Zastrzeżenia, te upadają w stosunku do publikacji zbiorowej Zdzisława Hierowskiego p. t. „Śląsk walczący", gdzie obok prymitywów znajdujemy wiersze i fragmenty wielkiej wartości. Jest w tej książeczce cały Śląsk, jego patriotyzm, wiara, historia i praca, jest Polska.

Najwszechstronniejsze cele postawili sobie, sadzac z tytułu, dwaj autorzy tomu „Odra szumi po polsku", — Leszek Goliński i Franciszek Fenikowski. Niestety zadaniu upoetyzowania najważnieszych zagadnień polskości Ziem Odzyskanych nie sprostał ani jeden, ani drugi. Nieco słowiańskości, kolorytu lokalnego, uczuć patriotycznych i wspomnień historycznych nie wystarcza na pełny obraz tej ziemi, a rażące zwłaszcza u Golińskiego błędy, nawet już nie w technice poetyckiej, lecz w składni, wypaczaja liryzm wypowiedzi. Najlepsze stosunkowo są jeszcze te wiersze Fenikowskiego, w których mamy bezpretensjonalny tylko opis krajobrazu.

Drugi zbiorowy tom Franciszka Grotta i Zofii Strzeleckiej zatytułowany „Miastu nad Brdą", o którym już pisalem w nr. 8 1946 „Arkony" zasługuje na uwagę z powodu wierszy Grotta, w których często powraca jeszcze motyw męczeństwa okupacyjnego, a pomorski typ człowieka ukazany jest w przekonywujących wizjach poetyckich.

Warto wreszcie także wymienić drukowane w Niemczech „Wiersze zebrane" Jana Koprowskiego. Ten pamiętnik liryczny, zawierający liczne rymowane tylko gawędy, wykazuje jednak kilkanaście silnych pozycji, w których autor przedstawia tułaczkę, nostalgie i powrót żołnierza do kraju. Jest to strzep dobrze podpatrzonej i odczutej wojennej naszej epoki.

Jak widzimy, wiele jeszcze problemów zachodnich pozostało na razie bez echa. Choć jednak znaczna część wydanych ostatnio tomów poetyckich sprawia nam zawód, udane częściowo próby, niektóre zaś doskonałe osiągnięcia napawać mogą wiarą w przyszłość poezji Jej obowiązkiem bowiem jest dotrzymywanie kroku człowiekowi.

Alfred Kowalkowski.

Irena Sławińska

PRÓBA EPOSU

Uderza niewątpliwie fakt, że wśród obecnej produkcji literackiej bardzo nieliczny odsetek stanowią powieści — nieliczny w stosunku do bogactwa reportaży, nowel i opowiadań. Nie jest to oczywiście przypadkowe. Widać pisarze czują, że nie nadszedł jeszcze czas syntezy, że przeżycia wojenne, które stanowią oś tematyczną współczesnej literatury, są jeszcze zbyt bliskie. Ze synteza wymaga dłuższego dystansu (— nie tylko czasowego naturalnie —), dalszej perspektywy. Żartobliwa formula, wprowadzona w Salonie Warszawskim —

„Wieleż lat czekać trzeba
aż się przedmiot świeży
Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?"

zawiera przecież — mimo ów ton persyflażu — ziarno prawdy — jakąś tajemnicę epiki, znaną okresom wielkich eposów.

Dobraczyński *) spróbował przełamać tę zasadę — pokusił się o współczesny epos historyczny, pisany — jak sam przyznaje — „na gorąco", w latach 1940—1946, niemal równolegle do zdarzeń. Zamiar artystyczny bardzo śmiały i bardzo ryzykowny. W ten sposób powstała książka, zakrojona na epopeję wojenną, pod tym względem w literaturze współczesnej — zupełnie jedyna.

Śmiałość literackiej koncepcji nie jest oczywista ani legitymacją książki ani jej dyskwalifikacją (— niech nas Bóg strzeże od pedanterii —) lecz pewnego rodzaju handicapem, dobrowolnie narzuconym, a więc zobowiązującym. Czegoż bo nie ma w tej książce! Ileż spraw, problemów, zdarzeń! Spróbujmy tylko wyliczyć najważniejsze — 1. zasadnicze etapy walk na froncie wschodnim, zachodnim i południowym, 2. proces kruszenia potęgi niemieckiej, 3. narastanie dywersji polskiej, 4. akcja eksterminacyjna w Lubelskim, 5. powstanie warszawskie, 6. zdobywanie Berlina. To tylko najzewnętrzniejszy przekrój fabuły historycznej. Bo obok tego istnieje — pierwszoplanowa — akcja erotyczna, tradycyjnie wiążąca główne postacie splotem osobistych konfliktów, a skupiona dokoła dwóch postaci — Herberta Koestringa, oficera niemieckiego i Oleńki, Polki. Zrąb kompozycyjny — jak widzimy — zupełnie Sienkiewiczowski.

Nie tylko zresztą ten schemat fabularny dziedziczy po Sienkiewiczu książka Dobraczyńskiego. Czuć w niej również i temperament pisarza-batalisty (świetne sceny bitew!), tętno epickie, plastyczność wyobraźni, narracyjną swadę. Zalety te sprawiają, że zarówno obrazy nalotów jak i walki afrykańskie nie budzą w nas żadnych sprzeciwów, podbijają sugestywnością wizji. Podobnie przekonywujące są fragmenty z dziejów partyzantki czy powstania warszawskiego.

To jest zasadniczy **plan epicki** utworu. Istnieje prócz tego jednak plan drugi, nie mniej silnie naświetlony — plan dialektyczny, obejmujący mnóstwo problemów, związanych z psychiką niemiecką, typem umysłowości, oddziaływaniem systemu, jego bankructwem, apologią katolicyzmu jako pozytywnego przeciwstawienia hitleryzmu. Ten właśnie drugi, dialektyczny zrąb utworu decyduje o wprowadzeniu różnych sytuacyj, służących tylko i wyłącznie **wypowiedzeniu.** Temat abstrakcyjny, wywołujący dyskusje zasadnicze, staje się nadrzędnym elementem w strukturze powieści, nie chce się nagiąć do praw motywacji powieściowej, przeciwnie, właśnie te prawa zagarnia nieraz pod swoje panowanie. I tak ze względu na problemy zasadnicze organizuje Dobraczynski w utworze liczne dyskusje oficerów niemieckich w kasynie, na zebraniach towarzyskich, w koszarach, nieraz na froncie, wśród walki. W tym dialektycznym — a nie epickim — planie mieści się końcowa scena zdobywania Berlina i juz zupełnie fantastycznie wystylizowana śmierć Hitlera, poprzedzona rozmową z Goebbelsem.

Istnienie tych dwóch koncepcyj artystycznych, ich wzajmne zazębianie się, ścieranie, przełamywanie, walka dwóch żywiołów-epiki i dialektyki w utworze decyduje o charakterze „Najeźdźców", o napięciu ideologicznym książki, ale i również o jej słabości. Najbardziej zagrożone zostały oczywiście postaci, przez które realizują się nadrzędne problemy dzieła. Postaci oficerów niemieckich mają przecież pokazać proces wewnętrznego rozpadu, bankructwa ideowego, do którego nieuchronnie prowadzi totalizm narodowo-socjalistyczny. Tym zamiarem artystycznym tłumaczy się fakt, że wśród niemieckich bohaterów Dobraczyńskiego spotykamy samych członków Wehrmachtu, ludzi ideowo związanych z systemem, niema zaś w książce wcale gestapowców, moralnie zbyt prymitywnych, aby mogli taką ideologiczną ewolucję zilustrować. To także dodatkowy handicap książki — o ileż łatwiejszy, prostszy, popularniejszy byłby opis bestialstwa niemieckiego w obozach! Autorowi szło jednak o trudny problem psychologiczny i ideowy (może nawet zbyt trudny, by go już dziś rozwiązać?) — o bankructwo wewnętrzne hitleryzmu.

Prowadzi ono ku klęsce życiowej jednostki najsilniejsze i najlepsze, takie jak Hugo Kostrzewa (jakiś niemiecki Colleoni), Herbert Koestring, Schneditz — artysta wiedeński. Wszyscy oni duszą się w systemie, który odbiera im możliwość pełnego, swobodnego, bogatego przeżycia. Schneditz ginie pod Stalingradem, rzucając przed śmiercią na papier ostateczną wizję swego życia — wizję wędrówki w mroczną krainę ruin i zniszczenia. Herbert odchodzi od pustki ideowej hitleryzmu, od religii nienawiści ku katolicyzmowi. Hugo Kostrzewa poznaje w przedśmiertnych swoich godzinach, jak dalece okaleczył swoje życie, oddając je bez reszty w służbę doktryny, wyrzekając się wszelkiej „krasy wszechrzeczy". Nie jest to może zresztą specyficzny problem hitleryzmu czy w ogóle totalizmu — niewątpliwie pobrzmiewa wokół postaci Hugona echo żeromszczyzny, echo zmagań „trudzacego się męża" z urodą życia. Na te bardzo literacka zresztą postać rzutuje Dobraczyński także inną tezę — uderza nią w niemiecki mit rasy. Wielokrotnie wraca w książce formuła, że Niemcy nie są narodem, lecz herezją. Hugo Kostrzewa, który ucieleśnia najlepsze pierwiastki siły, męskości, wierności, służby ma w sobie przecież krew polską. Zadaniem Niemiec — mówi stary wychowanek Bismarcka, baron von Grote — jest zaprząc psychikę słowiańską do niemieckiego pługa. Wydaje się zrazu, że eksperyment starego barona (który ukradł Hugona w Prusach Wschodnich i wychował na Niemca), udał się znakomicie. W ostatecznym rozrachunku jednak teza ta ponosi klęskę. Rodzina Kostrzewów pozostanie na swym biednym skrawku ziemi i pozostanie polska.

Hugo Kostrzewa zrazu przesłania swoją osobowością wszystkie pozostałe postaci — w drugim tomie cały akcent kompozycyjny zostaje przerzucony na Herberta Koestringa. Ma on reprezentować przeciętnego Niemca, w którym zasadnicze podłoże tworzy pewna miękkość, słabość, uczuciowość. Daje się on łatwo wciągnąć w system i bez sprzeciwu mu służy. Trzeba dopiero wielkich wstrząsów, zdrady jednej kobiety — Niemki, miłości do Polki i zetknięcia z jej światem — światem katolicyzmu, aby Herbert przełamał swoją psychiczną inercję i przyjął ten zrazu obcy sobie, daleki ideał. Samej konwersji nie pokazał jednak autor w powieści — pokazał tylko co raz wyraźniej rysującą się drogę ku niej. Instynkt pisarza musiał go ostrzec przed dotykaniem tak subtelnych przeżyć — o ich nieuchwytnej substancji wiedzą przecież czołowi pisarze katoliccy — Daniel Rops czy Mauriac.

Postać Koestringa łączy przeróżne sprawy i wątki — stoi on w centrum kruszejącego systemu, bierze udział w walkach na wszystkich frontach od Stalingradu poprzez Afrykę aż po Berlin, w jego aspekcie poznajemy wojnę, wreszcie dzięki niemu wchodzi do akcji Oleńka, a za nią i świat Polski walczącej. Wówczas reflektor pisarza zmienia kierunek — odtąd już patrzymy na wojnę oczyma Oleńki i Barczyńskiego, jedynego naprawdę pozytywnie potraktowanego bohatera książki. Ow **aspekt Oleńki** zaczyna się właściwie wcześniej, w I tomie powieści; wchodzi do książki poprzez pamiętnik Oleńki, bardzo zresztą nieprzekonywujący. (Dotychczas jakoś postaci kobiece nie udają się Dobraczyńskiemu — wszystkie krążą wokół jednego szablonu, najzupełniej zresztą tradycjonalnego. Nawet gorąca, samodzielna Gerda — nowa kobieta niemiecka — nie wydaje się dostatecznie — gorąca). Na ostatnich kartach książki dwa walczące światy zwierają się ze sobą w decydującym spotkaniu na ulicach Berlina. Pełne — fizyczne i moralne — zwycięstwo odnoszą Polacy. W tej samej chwili zarazem ostateczne rozwiązanie znajduje spleciony uprzednio węzeł uczuciowy. Herbert dowiaduje się o miłości Oleńki z ust tego, który ją do końca kochał, Barczyńskiego. Ten wspaniałomyślny gest w ogniu walki budzi w nas nieufność — słyszymy szelest papieru, wizja gaśnie. To triumf abstrakcyjnych założeń nad żywiołem epiki.

Jakże wypadnie ogólny bilans książki? Czy autor dotrzymał swoich artystycznych obietnic? Czy mógł ich w ogóle dotrzymać? Czy ta fikcja o Niemcach jest sugestywna, prawdziwa?

Książka powstała na skrzyżowaniu dwóch różnokierunkowych pasyj narracyjnej i dyskusyjnej, stąd to wrażenie załamania artystycznej koncepcji, stąd nagłe zmiany w tonacji, dysonanse. Pasja epika ulega jeszcze często naciskowi abstrakcyjnych problemów. Jednak jest — silna, zdolna do zwartych, sugestywnych wizyj, żywa.

Dobraczyński sięgnął zuchwale po arcytrudny temat — chciał dać „ocenę" i zarazem poetycką wizję świata, który potępia i osądza", „uczynić poetycznym przedmiot najbardziej obcy pragnieniom poetyckim", co uchodzi (Kołaczkowski) za wielki triumf sztuki. Wielkość zamierzeń artystycznych, przekorna chęć stawienia czoła najdrażliwszym sprawom, bogactwo motywów, temperament pisarski tworzą klimat tej goracej, zuchwałej, nierównej książki.

*) Jan Dobraczyński: Najeźdźcy. Powieść, 2 tomy. Wyd. Oficyna Księgarska Warszawa 1947. Okładka wg proj. Jana Knotke.

Wilam Horzyca

„WESELE" — I MR. BABBITT

Już to przyznać trzeba, że stoimy pod znakiem zaścianka, i to nie dlatego, że Polska jest kulturalnie czymś zabitym deskami od świata, ale dlatego, że o wszystkim, co się na tej ziemi narodziło wspaniałego i genialnego, myślimy jako o czymś, co jest zaściankowego formatu i do zaścianka się tylko nadaje. Przyrodzona nam megalomania narodowa dziwnie bo jakoś skromnieje, gdy przychodzi mówić o tym, co u nas jest naprawdę wielkiego i naprawdę na ogólno ludzką miarę. Wtedy opuszcza nas poczucie ważności i stajemy się cisi i potulni. Bo któż odważyłby się u nas porównać np. Słowackiego z Shelleym albo Norwida z Browningem, nie ośmieszając się tym we własnych oczach? Nikt. A nikt dlatego, że... nie znamy literatury polskiej, że wciąż uważamy ją za coś, co zostało stworzone tylko ad usum naszych domowych potrzeb i że zaspokojenie tych potrzeb „narodowych" wyczerpuje wszystko, co w niej jest zawarte. To sprawiło, że nie tak dawno byliśmy świadkami tego, jak „Dziady" i „Sen Srebrny" i „Irydiona" próbowano złożyć do lamusa jako dzieła kulturze polskiej i narodowi polskiemu już właściwie niepotrzebne, gdyż spełniły swe zadanie, uratowały świadomość narodu w dniach katastrofy dziejowej i teraz winne ustąpić „nowej rzeczywistości" (tzw. nowa rzeczywistość nie jest bowiem bynajmniej wynalazkiem lat powojennych!). Zapomniano o tym, a raczej nie wiedziano i nie widziano, że wprawdzie dzieła te były orężem w walce o istnienie narodu, ale że niezależnie od tego były one czymś więcej jeszcze, że III część „Dziadów", to nie jest coś w rodzaju genialnej „agitki" narodowej, ale że jest to dzieło na miarę najwyższą, wyrażające myśli i uczucia całej ludzkości ówczesnej, a postacią Konrada stworzył poeta jednego z reprezentantów poetyckich tejże ludzkości, jak był nim Faust czy Manfred. Tego jednak zaściankowe oczy wyczytać z „Dziadów" nie potrafiły. Dla nich był to tylko manifest walki z caratem, a ponieważ walka ta po upadku caratu stała się czymś nieaktualnym, więc co rychlej zakwalifikowano „Dziady" do... archiwum, jak przestarzały dokument, nic więcej. Że się to nie udało, to inna rzecz, ale w całym blasku zademonstrowano ów zaściankowy sposób patrzenia na duchową wielkość naszej poezji, nie dostrzegając, że sprawa istnienia narodu, aczkolwiek spiritus movens powstania tych dzieł, nie wyczerpała ich zawartości, i że sprawa ta stanowiła tylko medium, przez które wyrażały się zagadnienia i treści o zasięgu ponad narodowym i ogólno ludzkim.

Od tego zaściankowego sposobu widzenia ucierpiało w niemałej mierze i „Wesele". I to niemal od dni swego powstania. Już Józef Kotarbiński, który jako dyrektor teatru krakowskiego wprowadził „Wesele" na deski tej sceny, pisał iż jest to właściwie sztuka „galicyjska", gdyż daje poetycki przekrój społeczeństwa ówczesnej Galicji, i to „zachodniej", ale już nie społeczeństwa polskiego w b. Królestwie, gdzie „wielkie ideały na dnie dusz szlachetnych tkwiły", i surowa krytyka, zawarta w „Weselu", nie była przeto aktualna. Było to ujęcie „Wesela" o krok zaledwie oddalone od tego, jakie w pewnych kołach popularne było wówczas w Krakowie, gdzie „Wesele" uważano nawet nie za dramat „galicyjski", ale poprostu za skandal towarzyski, za nieprzystojną satyrę na przyjaciół i znajomych poety, mających pełne prawo obrazić się za taki nietakt, jak „umieszczenie" ich w dramacie. Wiadomo przecież, że Wyspański, pisząc „Wesele", swe dramatis personae nie określał pierwotnie tak, jak to uczynił dla sceny i w wydaniu książkowym, np. Poeta lub Dziennikarz, ale poprostu nazwiskami czy imionami tych, którzy mu służyli za pierwowzór. Niejaka więc podstawa do uważania „Wesela" za „skandal towarzyski" niewątpliwie była. Ale to właśnie doprowadza do absurdu widzenie w „Weselu" tylko odbicia jakiejś społecznej rzeczywistości, choć niewątpliwie rzeczywistość taka, i to bardzo konkretna, istniała. Z biegiem czasu i historii ten towarzysko-galicyjsko-zaściankowy sposób patrzenia na „Wesele" uległ pewnej przemianie. Po r. 1918, a nawet wcześniej, zaczęto sądzić, że przestało być ono aktualnym dlatego, iż niema już miejsca na „taniec chochołowy", bo przecież mamy już niepodległość itd. i, jak pisał Rabski, „dnieje". A jednak, mimo tych ciągłych zapewnień różnych luminarzy krytyki, że „Wesele" przestało być aktualnym, ilekroć pojawiło się ono na scenie, przyciągało do teatru tłumy widzów. Byli krytycy, którzy to nieustające a zagadkowe dla nich powodzenie „Wesela" przypisywali jego walorom artystycznym. Ale pierwszy lepszy widz „Wesela" powiedziałby im, iż bynajmniej nie dla „walorów artystycznych" poszedł do teatru, by ujrzeć to dzieło, ale dla jakichś innych, trudnych do sformułowania powodów, które sprawiały, że nie patrzał na „Wesele" tylko jako na dzieło artyzmu, albo jak na dokument minionych czasów, ale jako na utwór, który poruszał w nim coś, sam nie wie, co. Bo niewątpliwie z „Weselem" jest jak z „Dziadami". Walka z caratem należy do przeszłości, jak do przeszłości należy krakowski światek, z Rydlem i Tetmajerem, ale sprawa „Wesela" nie należy do przeszłości. Ona żyje i ona to ściąga nieustannie tysiące widzów.

Oczywiście, sprawa ta nie sprowadzałaby co wieczór tłumów, gdyby jej wehikułem nie był artyzm Wyspiańskiego. Ale artyzm Racine'a jest również wielki, a dziś spożywają go głównie smakosze. Dla samego artyzmu nie chodzą tłumy do teatru. Chodzą dlatego, tylko i jedynie niemal dlatego, iż usłyszeć tam mogą „co się w duszy komu gra". I oto stajemy przed pytaniem: jaką melodię wyzwala w widzu „Wesele", że jest mu on tak wierny? Innymi słowami, jaka to jest sprawa, o którą wciąż widocznie jeszcze chodzi?

Wszyscy żyjemy w większej lub mniejszej mierze pod hypnozą tego, że „Wesele" odbywa się w prostej chacie chłopskiej, i dlatego wciąż jeszcze skłonniśmy widzieć w sprawie „Wesela" sprawę tylko tej realności społecznej, którą w chacie tej ukazuje poeta, a co najwyżej, Polski. W istocie jednak, mówiąc zmienionymi słowami Wyspiańskiego, „dramat poza tą chatę polatuje". W czym bowiem mieści się los tragicznych ludzi, których zawarła w sobie ta „chata rozśpiewana"? Nie w czym innym, jak w tym, że wszystkie owe dramatis personae, jakie się tu zeszły, są ofiarami czy przedstawicielami wegetatywnego planu bytowania. „Wist, partyjka kolacyjka", mówi Dziennikarz, „żeby mi tam było cicho, spokojnie", mówi Pan Młody, „swoje trocha, dobre i to", mówi Czepiec, to wszystko piosenki na tę samą nutę, która w gruncie rzeczy jest nutą wszystkich, i Poety, i Gospodarza, całego tego świata „Wesela". Wszyscy oni, aż po Kliminę i Kubę, pragną jak Dziennikarz: „byle polska wieś spokojna". Niech się świat tam w jakichś Chinach pali, niech zapada się ziemia i wala niebiosa, byle tu było cicho i spokojnie jak pragnie Pan Młody. Nawet chłopski wigor i „bijacki" półwariackich animuszów są organem tej omnipotentnej wegetatywności, której odmian jest bez liku, tyle niemal co ludzi. Jedni chcieliby się z tego bagienka wegetatywności wyrwać, ale brak im sił, inni żyją zmyśleniem, trzeci grzęzną w nim z lubością, ale wszyscy oni są mniej lub więcej świadomymi jej niewolnikami. To jest ich wiara i filozofia: kurdesz nad kurdeszami! I pod rozlewną melodię wegetatywności, rzecby można, egzystencjonalizmu, „tańczy cała szopka" swój taniec chochołowy. Gdy jednak z ciemnej widowni patrzymy na ten plas upiorny, nagle nachodzi nas myśl, że patrzymy nie na scenę, ale — w zwierciadło. To my sami tańczymy tam, w tej chacie rozśpiewanej. Poznajemy w nich wszystkich siebie. I ten Dziennikarz bez kręgosłupa moralnego, i ten estetyzujący Pan Młody, i ten bezsilnie rozmarzony Poeta, i te temperamenty „półwariackich animuszów" i ten Dziad o złym sumieniu, te panienki, wszystko to wciąż jeszcze my. Tańczymy, i wciąż jakby czekamy głosu Złotego Rogu. Pytają, dlaczego „Wesele" jest wciąż aktualne? Oto dlaczego: Wciąż jeszcze zawodzą skrzypki Chochoła i wciąż jeszcze milczy Złoty Róg.

Czy jednak tylko my zaklęci jesteśmy w ten taniec? Czy ta wegetatywność, która w rozumieniu poety była główną przyczyną nieobecności Polski w życiu narodów, jest szczególną przywarą Polaków? Znakomity pisarz amerykański, Sinclair Lewis, wsławił się pierwszą swą powieścią, której bo-

Bogdan Ostromęcki

PRZYMIERZE

Jest to coś, co przychodzi tak nagle
jak światło, które tylko serca dotyka.

Jak skroplona czystą i chłodną nocą muzyka
co palce lekkie kładzie na skroń
i zdejmuje ciężar ogromny
z wielu głów i ramion i dłoni.

Wtedy przez błyski lądów wybuchających [nagle
z piany ciemnych mórz —
wtedy Cię widzę przez ostre, skośne fale,
czuję, jak gibki kwiat pochylony,
który zerwałem nocy pachnącej
i tulę do ust.

Wtedy choć wiem, że nie wywołam Cię [z przestrzeni
dalszej dla mnie, niż księżyc —
czuję bicie serca Twego tej sekundy,
krwi jedynej ciepło i chłód
i żyje we mnie Twoja każda godzina
zmieniona w uśmiech, słowo i ruch.

Zapomniany,
zapomniany tutaj — w mroźnym, dalekim [kraju
nie poematy piszę —

To na mnie i na Was coraz więcej światła
spada w godzinach ciszy
i ogromną, szeroką ziemię poszerza
o pojemność serc wszystkich
siła taka
trwała siła naszego przymierza.

haterem jest przeciętny businessman amerykański, mr. Babbitt, wzorowy przedstawiciel wegetatywnego „odczuwania świata" zaoccanicznego wzoru. Mr. Babbitt mógłby się znaleźć w bronowickiej chacie i może wcale by się tam nie poczuł obco. Tak samo jego szanowna małżonka, i córeczka, i synek, i wszyscy niemal znajomi, gdyż tam, na drugiej półkuli, odbywają oni ten sam taniec chochołowy, tak samo uśpieni, może także tęskniąc do wezwania jakiegoś Wernyhory (amerykańskiego), tak samo wyczekując głosu Złotego Rogu. Czyż więc to nie nasze złudzenie, że tylko w tej chacie bronowickiej odbywa się ów upiorny pląs? Odbywa się on i gdzie indziej, i w Polsce, i poza Polską, i w Paryżu, i w Chicago, i Buenos Ayres, wszędzie, gdzie głównym artykułem wiary są słowa Dziennikarza: byle polska wieś spokojna. I dlatego owa chata podkrakowska, to nie jest chata: to jest cały świat, a przynajmniej cały świat, tzw. zachodniej kultury, która ugrzęzła w wegetatywności, w wygodzie i spokoju, w pragnieniu ciszy i prawa do sielankowej śmierci, śmierci Babbittów. Ta chata, to „arka w powodzi", jak mówi Rachel, arka, do której zabrano, jak do biblijnej, z każdego gatunku po parze, i oto widzimy ich wszystkich pogrążonych w sennym tańcu, pod nutę Chochoła, który jest — bogiem tego globu. Niema miasta ni wsi w Europie, Ameryce, Australii, gdzieby nie rozbrzmiewała chochołowa melodia. To jest melodia globalna. I dlatego „Wesele" jest dramatem globalnym. Jest dramatem o braku tego pierwiastka odkupującego, który zawarty jest w obecności Złotego Rogu.

I ten to dramat wszechświatowy odbywa się w prostej chacie podkrakowskiej. I odbywać się może, gdyż według starej formuły magicznej, „co na górze, to na dole". Czym jest makrokosmos, świat, glob, tym jest mikrokosmos, owa „chata rozśpiewana" piosenką Chochoła, gdzie obowiązuje ten sam układ wewnętrzny, co na „wielkim świecie", jak układ wewnętrzny atomu obowiązuje w systemach słonecznych. Nieświadomym wydać się może, że do ukazania dramatu świata trzeba kulis jak świat ogromnych. Ale okazuje się, i to nie po raz pierwszy, że jest inaczej, że całą „fatalność dziejową" globu można zamknąć, jak mówi Hamlet, „w łupinie orzecha", tylko trzeba ją umieć zamknąć, tak jak uczynił to Wyspiański, w arce swej chaty, ukazując całą ludzkość, tkniętą bezwładem wegetatywności.

Gdyby Wyspiański żył, może powiedziałby, że nie śniło mu się pisać dramatu „globalnego". Nie chodzi jednak o to, co mu się nie śniło czy śniło, ale co zrobił. Być nawet może, pisząc „Wesele", pisał świadomie dzieło o posmaku „skandalu towarzyskiego", jak mniemał . . . . . Rydel. Ale z chwilą, gdy dzieło oderwie się od twórcy, żyje ono już własnym, niezależnym od zamysłów autora, życiem. Jak powiada Norwid, każde dzieło składa się z tego, czym stworzone zostało, i z tego, co na nim narosło. Jeśli tak, to na „Weselu" narosło niezmiernie wiele. Narósł globalny dramat wiary, gdyż w ostatniej instancji „Wesele" jest dramatem wiary, dramatem o nieobecności Złotego Rogu, którego nie zastąpi żaden „kult życia", będący właściwie niczym innym, jak nieświadomym siebie kultem wegetacji.

Nam przysłania „Wesele" ów „strój ukąpany tęczą", owa swojskość, która czyni je nam zbyt bliskim. Obcym przysłania je ten sam tęczowy polonez kształtów, który znów czyni je im zbyt dalekim. Nie tak to łatwo wejść obcym do bronowickiej chaty i poczuć się tam sobą, jak znów nie tak łatwo wyjść z tej chaty i poczuć się na scenie świata. I może nawet tego nie potrzeba, bo, jak powiedziano, ta chata jest globem, ten glob jest chatą. Ale trzeba i należy zrozumieć, iż sprawa „Wesela" jest sprawą na światową miarę, i że w dziele tym raz jeszcze Polska dała odpowiedź na coś, co dziś jest pytaniem całego rodu ludzkiego.

„WESELE" W TORUNIU

„Wesele" w reżys. W. Horzycy było ósmą premierą sezonu toruńskiego, między przygotowaniami do „Romea i Julii", a „Orfeuszem", „Dwoma teatrami", „Za kulisami" i „Magia". Na zdjęciu czołowa artystka teatru, Irena Maślińska jako Panna Młoda, oraz Janusz Obidowicz w roli Pana Młodego.

Na marginesie

ZIELONY KAPELUSIK NA CIERNIOWEJ KORONIE

W najgorszych latach zewnętrznego ucisku myśli polskiej Wyspiański wołał o narodową cenzurę. Oczywiście, chodziło tu nie o cenzurę formalną, lecz o świadomą odporność opinii narodowej w stosunku do rzeczy niskich i małych.

Tęsknota do tego rodzaju cenzury budzi się niejednokrotnie przy zetknięciu z niektórymi przejawami odtwarzania przez sztukę polską niedawnej rzeczywistości wojennej. Cóż tu dużo mówić? — Przeszliśmy lata, których treść bohaterska i męczeńska wystarczyłaby na wypełnienie wieków historii niejednego narodu. Oczywiście, obok rzeczy wielkich były małe, obok bohaterstwa łajdactwo, obok najwyższej ofiarności drobna zabiegliwość ludzi, umiejących urządzać się w każdych warunkach. Niemniej obraz całości jest bezwątpienia zarazem wyjątkowo szczytny jak tragiczny, niezależnie od politycznej oceny słuszności takich czy innych posunięć. Nie wymagajmy od sztuki, aby szybko znalazła właściwe wyrazy dla odtworzenia całej wielostronności i złożoności tego okresu.

Natomiast mamy prawo domagać się, aby jednostronność wykrzywiająca ujemnie nie szła zbyt daleko, aby istniało pewne poczucie odpowiedzialności w stosunku do tematu, aby ciernowa korona nie była nadmiernie jaskrawo i hałaśliwie pokrywana przez popularny w lansowanych przez goebbelsowską propagandę piosenkach *zielony kapelusik z czerwonym piórkiem*. Szczególnie ostro należy domagać się tego tam, gdzie odtworzenie rzeczywistości ma być równocześnie przeznaczone na użytek zagraniczny.

Nawiasowo tylko potrącę o głośną sprawę filmu *„Zakazane piosenki"*. Słusznie domagano się, aby ten reprezentacyjny i niepozbawiony wartości wytwór polskiej sztuki filmowej nie był dopuszczony do wymiany zagranicznej, jako przedstawiający polską rzeczywistość wojenną w nadmiernie krzywym zwierciadle. W długiej dyskusji na temat akcesoryjnych pomyłek ideowej treści filmu nie podkreślono bodajże jeszcze dość zasadniczego momentu, że obok potknięć akcesoryjnych poważne wątpliwości budzi również zasadniczy wątek, to jest przedstawienie Warszawy okupacyjnej jako miasta pełnego piosenek i melodii. Rzeczywistość była przeważnie inna. Cmentarna w swojej wymowie patriotyczno-inwalidzka pieśń pierwszego okresu po klęsce, jak również gavrochowskie rozkrzyczenie ulicy warszawskiej antyhitlerowską piosenką w ostatnim roku przed powstaniem, nie mogą zatrzeć innego faktu, wręcz odwrotnego, to jest zupełnego niemal pozbawienia możności normalnego emocjonalnego wyładowania w żołnierskiej piosence całej walczącej młodzieży Warszawy w latach 1940-44. Młodzież ta na ogół nie umiała śpiewać, nie miała po temu sposobności, stanowiąc — w przeciwieństwie do rozśpiewanej rzeczywiście młodzieży legionowej, harcerskiej, czy peowiackiej w latach wojny światowej — armię istotnie podziemną, działającą, szkolącą się, walczącą i ginącą w tragicznym milczeniu, bez normalnego źródła otuchy, jaką jest pieśń żołnierska. Dopiero las i partyzantka dawały pewną zmianę tej sytuacji. Tym się też tłumaczy, że w przeciwieństwie do lat 1914-1918 polska pieśń żołnierska lat 1939-45 jest tak stosunkowo uboga.

Oczywiście, oddanie w filmie tak zarysowanej żołnierskiej rzeczywistości Warszawy nie dałoby się osiągnąć środkami filmowego szablonu. Czemu jednak w takim razie opierać film na zdecydowanej odwrotności i stwarzać legendę o mieście rozśpiewanym? — Jest to jedno z wielu załamań polskiej rzeczywistości wojennej w krzywym zwierciadle sztuki.

Lecz w danym wypadku chodzi tutaj nie tyle o film, nad którym długa już stoczyła się dyskusja. Chodzi o jedną z nowych powieści wojennych polskich.

Nie będziemy wymieniali tytułu i autora tej niezbyt przyjemnej książki. Nie ma uzasadnienia dla reklamy, chodzi zaś o potępienie nie jednej książki, lecz zjawiska. Powieść może i niezła. Jedna z prób popularnego w dwudziestoleciu wyrafinowanego realizmu rzeczy akcesoryjnych oraz psychologicznego pogłębienia lichych uczuć niezbyt ciekawych postaci.

Wagi sprawie dodaje natomiast zamieszczona na tytułowej obwolucie zapowiedź, że *powieść jest równocześnie tłumaczona na język francuski*.

Otóż jaka jest treść tego tak wyraźnie przeznaczonego dla *obcych* powieściowego reportażu wojennej rzeczywistości na ziemiach polskich? Są to dzieje przeciętnego pozamałżeńskiego stosunku miłosnego, zaostrzonego przez rywalizację między lekarzem Polakiem i niemieckim esesmanem o serce i względy kelnerki w jednej z kawiarń niewymienionego z nazwy, lecz łatwego do odgadnięcia, „większego miasta na wschodzie". Rywalizacja kończy się przypadkową śmiercią bohaterki w czasie bójki między rywalami. Wszystko dzieje się w atmosferze kollaboracji i współżycia polsko-niemieckiego. Parę frazesów patriotycznych oraz epizodycznie ukazana postać działacza-konspiratora stanowi raczej tylko podkreślenie ubocznej i drugorzędnej roli podziemnych elementów życia polskiego w czasie wojny. Podobnie ciężar okupacji jest zaznaczony niesłychanie ostrożnie. Życie toczy się w dobrych warunkach materialnych, wśród obfitości jedzenia i napoju, w dużym niezbyt wrogim przemieszaniu polsko-niemieckim. Najpoważniejszą w skutkach przykrością tego okresu jest, że niemieccy aspiranci do wdzięków polskich kelnerek z restauracyjnych sal *„nur für Deutsche"* mają nad polskimi bywalcami tych samych lokali przewagę uzbrojenia, z której zresztą korzystają niezbyt rychło i niezbyt pochopnie.

Oto jest powieściowy obraz polskiego życia okupacyjnego *na użytek, między innymi, zagranicy*. Cóż? — Można powiedzieć, że zielony kapelusik z czerwonym piórkiem również domaga się od literatury odtworzenia, jako jeden z istotnych elementów rzeczywistości wojennej. Czyż jednak dla zagranicy ma on być niejako głównym elementem tej rzeczywistości? Używając formuł norwidowskich, można w tym widzieć nie tyle *odtworzenie*, ile *spotworzenie* naszej rzeczywistości wojennej.

B. S.

Józef Szczawiński

MIASTO

Nie rozplątuję zmarłych godzin
i węzłów dni wplątanych w przyszłość,
od kiedy miasta krzyk mnie zrodził
i przebudzeniem o bruk cisnął.

Czas przeoruję, pachnie miasto
skibą i chlebem. Z aluminium
wykuty księżyc w wieże wrasta
cedząc minuty — krople płynu.

Leniwie krąży szept milczenia
żyłami ulic w śnieżnej pleśni
Pulsują w górze gwiazdy drgnieniem
wielkich i małych ludzkich nieszczęść.

Zgubionych świateł nikły płomień
przez mętne szyby sączy przestrzeń.
Na niknącego dnia przełomie
czas odnalazłem w śpiącym mieście.

Andrzej Wirth

OGRÓDEK

Z jednej strony
szumem pociągu,
z drugiej ogrodzony
białą chatą,
co zna swą białość
we dnie i w nocy,
z trzeciej wystrzelił śmiało
murem lasu,
a czwartej nie ma;
w górze śliwy i bzy
wrastają w te nieba
codzień inne
i codzień wchodzi
furtką z tyłu
niby spóźniony złodziej
żółte słońce
i kształt swój złoty,
oślepiający
na drobne zmienia monety,
by błyszczące,
krągłe talary
wisząc na krzakach
coraz radośnie pęcznialy
dojrzałością.
Niepokonany
łączy więc usta
czar niedokonanych
dotąd rzeczy. —

Józef Szczawiński

NA CZWARTAKU

Oderwani od ziemi płyniemy horyzontem,
wkoło obłoki zrosłe z arabeskami dymów.
Ktoś nieostrożny wylał balie z niebieskim
[płynem
łączące z fundamentem więzy ktoś nam
[rozplątał

W dole maleńcy ludzie stawiają przecinki cieni
czasami w górę wyskoczą wzrokiem — przed
[burzą ryby.
Tłum jak beztroski bankrut monetę na drobne
[rozmienił
a potem porwał życie i schował się z nim
[za szyby

Słońce przybiegło do nas i łasi się jak zwierzę
chłód zaczerpięty w cieniu łakomie
[chłepcze z ręki
Patrzymy jak z kominem fabrycznym —
[kościelne wieże
łowiąc światła na krzyże spór wiodą
[o błękit.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Pod takim tytułem zamieszczać będziemy wypowiedzi, które nie zawsze będąc wyrazem poglądów redakcji — przyczynić się mogą jako punkt wyjścia do pożytecznych dyskusji.

Redakcja.

Aleksander Dzienisiuk

NA MARGINESIE SPORU O CZŁOWIEKA

Spośród licznych polemik, które z podziwu godną konsekwencją i niebywałą energią od pierwszych chwil wolności po dzień dzisiejszy toczą się na łamach naszych literacko-naukowych periodyków, żadna w sposób tak wszechstronny i wyraźny nie nie odsłoniła rozbieżności w metodzie ludzkiego rozumowania, jak ta, która dotyczyła sprawy samego człowieka.

Spór o człowieka trwa nadal. W swym przebiegu stanowi on jedno z najbardziej symptomatycznych zjawisk społeczno-kulturalnego życia naszej epoki. Jest on zarazem świadectwem jak wielkie i decydujące znaczenie w kształtowaniu poglądów na ogół współczesnych zagadnień posiada teoria praw myślenia, która wbrew oportunistycznym dogmatom nie stanowi zamkniętego i skończonego sytsemu, lecz podobnie jak społeczeństwo ludzkie, ziemia i cała przyroda podlega prawom historycznego rozwoju.

Powiązanie procesów myślowych z prawami obiektywnej rzeczywistości oraz zdolność wykrywania współzależności wszystkich zjawisk i całej siły, rozstrzygającej o dynamice ciągłego ruchu i rozwoju może ustrzec nas przed mielizną jednostronnej oceny przed złudną abstrakcją i gmatwaniną sprzeczności. Tylko umiejętne, wolne od bezmyślnego naśladownictwa i instynktownej inercji korzystanie z dorobku wielkich teoretyków myśli Heraklita i Arystotelesa, Kartezjusza i Hegla pozwoli nam uniknąć zarówno przerostów tradycyjnego myślenia, jak też kompletnego bagatelizowania arystotelesowskiej logiki, która przecież w pewnych granicach posiada swe niewątpliwe, samodzielne znaczenie.

I właśnie spór o człowieka stanowi sui generis mozaikową ilustrację, na której barwnie i sugestywnie utrwalone zostały wszystkie pozytywne i nowe osiągnięcia oraz niekonsekwencje i skrajności, związane z formalnymi zasadami myślenia. Jakże często przy analizie aktualnego problemu humanizmu powagą swą Arystoteles wypierał Kartezjusza i Hegla, albo ci ostatni uśmiercali bez reszty naukę mędrca ze Stagiry.

Na terenie sporu o człowieka przeciwnicy zademonstrowali cały swój okazały i imponujący arsenał polemicznej broni. Werbalistyczne chwyty i racjonalne myśli, serdeczne upodobania i naukowe wywody ukazały jasno różne typy współczesnych intelektualistów. Jedni, zapatrzeni w przeszłość, nadużywają praw formalnej logiki, starając się swe „wieczne ideały" wtłoczyć w ramy obecnej rzeczywistości, drudzy wyczuwają rytm współczesności i potrafią dotrzymać jej kroku, inni znowu na skinienie swej lotnej wyobraźni wybiegają myślą w niedościgłą przyszłość.

Umarli — żywi i marzyciele!

Zdawałoby się, że sama historia jest już wystarczającym argumentem na to, by przestać wreszcie uznawać świat zewnętrzny za nieruchomą wiecznością, by nie ulegać powabom absolutnych, sztywnych i wieczystych praw i form życia. Nie gdzieindziej bowiem jak właśnie w zwierciadle historii odbity został ciągły proces ideału człowieka ijego odwiecznych dążeń i tęsknot do szczęścia i pełnego rozwoju. Wśród różnych kierunków humanizmu, mających wyłącznie literacko-filozoficzny charakter, od zarania dziejów ludzkości istniał także humanizm o wyraźnym aspekcie socjalnym. Spór o człowieka i walka o jego wolność, walka początkowo chaotyczna i instynktowna, a z czasem świadoma i planowa trwa od czasów najdawniejszych poprzez starożytność do odrodzenia, poprzez encyklopedystów francuskich aż do epoki wkraczającego w życie socjalizmu.

U większości intelektualistów bagatelizowanie tej historycznej drogi humanizmu, niezdolność do wykrycia wzajemnego związku i progresywnej ciągłości między poszczególnymi epokami oraz brak powiązania sprawy człowieka z historyczną rzeczywistością staje się źródłem nieporozumień i odskocznią w królestwo abstrakcji i fantazji. Naturalny, żywy człowiek, z krwi i kości przekształca się nagle w zwiewną marę, w aureli nieśmiertelnego ideału unoszącą się ponad powierzchnią dziejów i dźwigającą z nietajoną satysfakcją balast ideologicznych rekwizytów, wytartych i zużytych.

„Człowiek jest z natury istotą społeczną" — twierdził Arystoteles. — „Jedynie społeczeństwo przynosi jednostce w darze wszystkie jej wymiary" — pisze Roger Garaudy. Te dwa sądy — starożytnego mędrca i intelektualisty współczesnej Francji potwierdzają społeczną misję człowieka i tym samym zobowiązują do konkretyzowania jego sprawy, sprawy wolności i rozwoju jednostki w oparciu o każdorazową strukturę społeczną. Struktura zaś społeczna — to rezultat skomplikowanego, historycznego procesu, — to owoc ludzkiego doświadczenia, o którym informuje nas nie tylko socjologia, ale i etnologia, biologia, psychologia i inne nauki. Człowiek w zbiorowości, jego osobowość, myśli, zdolności i zamiłowania, instynkty, nawyki i skażenia — to znowu dziedzictwo długich zmagań z przyrodą o egzystencję, — to żmudna historia przejścia od form walki żywiołowej, odosobnionej i niezorganizowanej do zamierzonej i planowej. Na stopniu cywilizacji antycznej, kiedy podstawowym źródłem energii były jedynie mięśnie niewolników i zwierząt pociągowych z konieczności siła i przemoc decydowały o zamianie człowieka w żywe narzędzie pracy. Anér kalós kagathós i vir bonus tworzyli stosunkowo niepokaźną grupę społeczną — elitarną wysepkę w morzu niezliczonych rzesz niewolnictwa. Swoją pełną wolność i niezależny indywidualizm demokrata ateński opierał na niewoli innego człowieka.

Nic więc dziwnego, że Arystoteles w myśl antycznej demokracji i idąc za swoim mistrzem Platonem uważał niewolnictwo za naturalną instytucję społeczną. I w „humaniźmie" Spartiaty nie było miejsca dla helotów.

Stąd też zdumiewa swoboda, z jaką wielu intelektualistów szermuje postulatem niezależnej osobowości, pojętej jako indywi-

dualne wnętrze istoty ludzkiej, odizolowane od życia zbiorowego, — z jaką werwą i temperamentem wielu broni jej niezmiennych i absolutnych walorów i z jak naiwnym optymizmem domaga się nieograniczonej wolności i dowolnego rozwoju jednostki.

Kaprysy i dąsy obrażonego indywidualizmu — to nie tylko dowód nadużywania praw statycznej logiki, ale również posępny cień długowiekowej historycznej tradycji, wywodzącej się jeszcze z ducha antycznego humanizmu, którego drogę ideową określił Protagoras, głosząc, że „człowiek jest miarą wszechrzeczy". Tym powiedzeniem Protagoras ustalił nadrzędne stanowisko człowieka w ramach świata, obudził w nim poczucie nieograniczonej mocy ipychy, której sprzyjał geocentryczny system Ptolemeusza. Ta indywidualistyczna i interministyczna koncepcja człowieka znajdowała silne oparcie w klasowej strukturze gospodarczo-społecznej. Zazwyczaj bowiem patrzono na rozwój i rozkwit jednostki przez wąskie ideologiczne okienko swojej grupy społecznej, która w danym okresie była pupilem historii.

Nieuniknioną konsekwencją klasowego rozwoju społeczeństwa z jednej strony był więc wybujały indywidualizm i elitarne ujęcie osobowości, z drugiej — jej niedorozwój i marazm. Jak często dziś jeszcze ci, którzy dostąpili społecznego awansu, nie dysponują walorami uspołecznionej osobowości. Nadal ciąży na nich epoka klasowego społeczeństwa, która już to przejawia się w ciasnym, zarozumiałym egoizmie i w tkliwym szacunku przede wszystkim dla swoich pragnień, już to drzemie pod powłoką wrodzonej niezaradności, nieśmiałości i niemocy. Wyeliminowanie tej smutnej sprzeczności psychologicznego dziedzictwa wielu epok, jest doniosłym i wielkim zadaniem współczesnych pokoleń. Zwolennicy niezmiennej i absolutnej osobowości, zatrwożeni w obliczu dokonywującej się historycznej korekty powinni, stojąc na twardym gruncie rzeczywistości poddać rewizji swoje kryteria i normy oceny. Postulowanie już w chwili obecnej nieograniczonej wolności i dowolnego rozwoju jednostki — to przede wszystkim niecliczenie się z tymi historycznymi i materialnymi warunkami, od których zależy racjonalny postęp, — to biblijne marzenie o idealnej miłości i sprawiedliwości w łonie feudalnego i kapitalistycznego społeczeństwa. Wspaniałe, rewolucyjne hasła „wolności, równości i braterstwa", — w epoce kapitalizmu były również czczym frazesem, — efemerydą, która ginęła przy zetknięciu z surową wymową historycznych faktów.

Pełne i wszechstronne wyzwolenie człowieka i jego nieograniczona wolność — to ostateczne zerwanie pęt przyrody, to zagadnienie postępu wiedzy, zwłaszcza techniki, to rozwiązanie problemu psychologicznego i odkrycie nowych źródeł energii... Wyzwolenie człowieka postępuje równolegle z rozwojem techniczno-cywilizacyjnym. Odkrycie tajemnic jądra atomowego, powstanie nowego źródła potężnej energii, zapowiada zmierzch starej cywilizacji ognia i żelaza i otwiera szerokie perspektywy nowej ery, która zasadniczo przeobrazi problem kultury i problem człowieka.

Tylko w oparciu o obiektywne prawa przyrody, tylko przez ich zrozumienie i uwzględnianie w swym działaniu staje się człowiek precyzyjnym i sprawnym ogniwem w długim łańcuchu twórczych

STANISŁAW BORYSOWSKI

GINĄCE GHETTO
Rysunek

elementów świata, nie jako jego fenomenalny i nadprzyrodzony okaz, lecz wydoskonalony twór własnej swej epokowej pracy. Pełne wyzwolenie człowieka i najwyższy poziom osobowości — to taki stan świadomości ludzkiej, w której zaciera się różnica między podporządkowaniem się prawom obiektywnej rzeczywistości a korzystaniem z tych praw, w której wolność nie jest rozumiana jako anarchistyczna samowola i pielęgnowanie niezdrowych przerostów tradycyjnego indywidualizmu, ani nawet nie uważa się jej już za świadomą konieczność, lecz odczuwa się jako swobodny stosunek i związek z otaczającą nas rzeczywistością, związek dowolny i współtwórczy, podyktowany przymierzem i harmonią sił. Podobnie na terenie życia społecznego „konieczność" zaspakajania potrzeb wspólnoty ludzkiej staje się wielką indywidualną misją człowieka oraz żywotnym i szczerym elementem jego osobowości. Jest to szczyt cywilizacji i kultury ludzkiej, na który prowadzi ciężka droga racjonalnej myśli i czynu.

Ci zaś intelektualiści, którzy oszołomieni wzniosłością idei nie potrafią wyzwolić się spod jej uroku, którzy oddając się w niewolę romantycznej emocji, pragną wcielać swą utopijną myśl w życie, bagatelizując twarde warunki historycznej rzeczywistości, tworzą w rezultacie żałosne grono martwych marzycieli. Skaczą na szczyty do góry, by stoczyć się w przepaść irracjonalizmu. Mogą wzruszać, imponować i olśniewać, ale nigdy działać i tworzyć. Emocja upaja a wzniosłe, moralizatorskie i głośne marzenie samo dla siebie staje się czynem i realizacją.

Świadomy, mądry i realny człowiek swojej epoki to ten, który kroczy we właściwej kolumnie historycznego progresu i który słyszy rytm współczesnej historii. W jego żywym światopoglądzie przeszłość nie dławi teraźniejszości a przewidziana przyszłość nie przypina mu karowych skrzydeł do ramion i nie wiedzie nadziemskim szlakiem w krainę długo jeszcze nieziszczalnych marzeń i wizyj i nie strąca racjonalnej i twórczej myśli na dno nieprzejrzanej topieli.

Wacław Olszewski

DWIE EPOKI

I.

Szeptała mi babcia wspominki — pacierze,
że wczoraj inaczej: przestronniej i szerzej
i tłdy krynolin szeptały kurantem,
że wczoraj inaczej, że wczoraj romantyzm:
że biały kołnierzyk tak a la Słowacki
i gesty szerokie i lśniące posadzki,
że ryngraf na ścianie i chłopi na boso
i mazur ostatni, i ułan i Kossak...
Szeptała mi babcia, marzyła na serio,
że 4-ka bułanych doścignie Imperium,
a stangret swe ręce, trzymając na wodzach,
powstrzyma historię, gatunek i rodzaj...
lecz lejce puściły i konie w galopie —
romantyzm nawalił! czy stangret się opił!

II.

A dzisiaj przeciwnie — szybuje do anten
materia, pozytyw, żelbeton, gigantyzm.
Do anten, kominów, do szczytów drapaczy
— odmienniej, niż wczoraj. Świadomiej, inaczej.
Tu koniec. I kropka. Choć atom i uran
— daleka jest droga od anten — do chmury.

I winda stanęła na mecie ze stali —
czy liny zbyt krótkie! Czy windziarz nawalił! —

Józef Hertel

TRAWA NA GRUZACH

Ta zieleń jest lirą,
W struny napięty gruz; —
Słyszysz, jak niecierpliwie kwilą —
Złóż na nie rękę, złóż.

Drugą niebieskiej tknij harfy
I tak od świtu aż po dnia skraj:
Pod palcami twoimi świat martwy
Wstanie. — Ty ręce złóż i graj.

Wiersze zamieszczone na obu stronach (8 i 9) reprezentują poetów łódzkich z Młodej Grupy Poetyckiej.

Tadeusz Esman

BYDGOSZCZ NA TLE WYPADKÓW 1846 ROKU

I.

Dynamizm rozwojowy Bydgoszczy zatacza coraz szersze kręgi. Życie gospodarcze, polityczne, społeczne, częściowo również kulturalne nabiera coraz wyraźniejszych cech wielkomiejskich. Ambicja nasza nie została jednak zaspokojona na odcinku, który razi kompromitującą pustką. W 601-ą rocznicę swego „oficjalnego" istnienia, przeszłość miasta jest nadal księgą niezapisaną. Brak historycznej perspektywy wstecznej to nie tylko ujemna pozycja w opinii sfer naukowych, to nie tylko minus techniczny dla konstruktorów planu dróg rozwojowych ale przede wszystkim zbagatelizowanie klucza do serc obywateli, pragnących przeszłość swego miasta pokochać. Nie wątpię w to, że życzenie i wola społeczeństwa bydgoskiego przełamie trudności i historia miasta zmartwychwstanie niezadługo, choćby tylko w formie księgi pamiątkowej, zaprojektowanej a nie zrealizowanej przez *Komitet 600-lecia miasta.*

Sytuacja jest bardzo przykra. W wiekowym dorobku polskim i niemieckim nie posiadamy żadnego opracowania obejmującego całokształt dziejów miasta. Nieprzenikniona mgła otacza historię XIX wieku. Co wpłynęło na tę anemię pisarską? Czy tylko przeszkody techniczne i brak źródeł, czy też może mała atrakcyjność tematu? Rozważania tego rodzaju nie mieszczą się w zakreślonych ramach pracy i jedynie na marginesie chciałbym zwrócić uwagę na te hamulce natury raczej psychicznej, które w pewnych okolicznościach mogą zamącić stosunek uczuciowy do zagadnienia opracowywanego.

Każdy dziejopis dążyć powinien do obiektywnego przedstawienia faktu. Historyk jest jednak równocześnie członkiem swego narodu i darzy, może nawet podświadomie, szczególną sympatią rodzimy dorobek dziejowy. W konkretnym wypadku, Niemiec *do niewielu* momentów przedrozbiorowej historii miasta Bydgoszczy może odnosić się z wewnętrznym zadowoleniem, bo nie znajduje w nich dowodów odwiecznej niemieckości. Polak natomiast odczuwa pewne onieśmielenie, kiedy przystępuje do studiów nad historią Bydgoszczy XIX wieku. Jest to zresztą odcinek nieopracowany, który pruskoniemiecka propaganda wzięła w wieczystą arendę. Mit o niemieckości Bydgoszczy prysł w roku 1920 bez specjalnego nacisku polskiego. Okazało się wówczas, że wbrew urzędowym statystykom, po odpływie rodzin urzędniczych i wojskowych, odsetek ludności niemieckiej związanej silniejszymi więzami z miastem był stosunkowo nie wielki. Historyk jednak musi opierać się na źródłach współczesnych i w konsekwencji znajdzie się w kręgu hypnozy argumentów niemieckich, które sugerować mu będą obraz stolicy rejencji, wypełniającej wiernie misję germanizacyjną na wschodzie. Źródeł polskich brak prawie całkowicie. Zdawało by się, że miasto Kazimierza Wielkiego zasnęło na zapomnianym szlaku myśli polskiej.

Cóż można przeciwstawić argumentowi niemieckiemu? Przede wszystkim prawie kompletne znegliżowanie istnienia dość silnej mniejszości polskiej. Nie zadano sobie nawet trudu statystycznego ujęcia ilości elementu polskiego. Przekazano nam tylko podział wyznaniowy. Należy jednak przyjąć, że kryterium wyznaniowe pokrywało się w tym czasie mniej więcej z kryterium narodowościowym. W roku 1852 było w samym mieście 26% katolików i 67% ewangelików. Jeżeli uwzględnimy ludność podmiejską silnie związaną z życiem miasta, ludność Szwederowa, Wilczaka, Okola, Bielawek itd., ilość żywiołu polskiego wzrośnie do 30%. Stosunek ten w oczach naszych wydawać się może niekorzystnym, nie trzeba jednak zapominać, że w omawianym okresie niewiele wybitniejszych ośrodków miejskich w Wielkopolsce a jeszcze mniej na Pomorzu wykazywało większość polską. Stoimy u progu akcji repolonizacyjnej miast i w podanych cyfrach statystycznych zmuszeni jesteśmy oglądać wyniki kilkudziesięcioletniej akcji germanizacyjnej.

Trzeba sobie uświadomić, że Bydgoszcz była w pierwszym okresie rządów pruskich od 1772 r. atutem w polityce merkantylnej i kolonizacyjnej Fryderyka Wielkiego. Powstać tu miał ośrodek przemysłowo-handlowy, za pomocą którego zamierzano podważyć pozycję gospodarczą polskiego wówczas jeszcze Gdańska. W tym celu zbudowano wielkie magazyny i zakłady przemysłowe, oraz przeprowadzono regulację Noteci i budowę Kanału bydgoskiego. Równocześnie realizował Fryderyk bezwzględną politykę germanizacyjną. W zmurszały pień starej bezbronnej Rzeczypospolitej wbił wzdłuż Noteci i Kanału bydgoskiego klin osadnictwa niemieckiego, którego ostrzem była Bydgoszcz. Jemu zawdzięczamy wtargnięcie pierwszej zwartej fali przybyszów z zachodu. Cel był jasny; chodziło o odcięcie Pomorza od wpływów macierzy. Polityka gospodarcza uległa wkrótce częściowej likwidacji wskutek zmienionej sytuacji po drugim rozbiorze Polski. Akcję kolonizacyjną kontynuowano. Element polski zepchnięto z śródmieścia na peryferie i pozbawiono przodującej warstwy inteligencji. Bierną masę ludności chałupniczej, wyrobniczej i drobno-rzemieślniczej objęto mackami stopniowej germanizacji.

Instytucjami germanizacyjnymi były szkoła, koszary i życie. Agitacja proniemiecka wysuwała według ogólnego schematu jako przynętę niezwykle atrakcyjną majestat króla pruskiego. Mit o wspaniałomyślności i wszechpotędze monarchy z łaski Bożej działał na serca i umysły maluczkich olśniewająco. Ludowi wpajano w szkole a szczególnie w wojsku zasadę, że obowiązek wierności poddanych niweluje skrupuły narodowościowe. Życie w granicach rogatek, uczyło znów, że nazwa Polak jest synonimem biedy i ciemnoty; kto więc chce iść wyżej musi ulec wynarodowieniu. Dla usunięcia ostatnich wątpliwości wskrzeszano pokutujące w sercach ludu widmo nierządu szlacheckiego. Tymi drogami i nie tylko za pomocą sztucznej kolonizacji wprowadzono do łodzi bez sternika zamęt i dezercję. Bydgoski element mieszczański w 18 latach od 1833 do 1851 stracił w samym mieście około 4%, a z podmiejskimi osadami przeszło 7% swego składu.

Niemieckie społeczeństwo nie brało jeszcze zorganizowanego udziału w akcji germanizacyjnej. Sytuacja uległa jednak zmianie, kiedy na terenie Bydgoszczy pojawił się konkurencyjny prąd polskiego odrodzenia narodowego i rozszerzając bazę działalności na dolne warstwy społeczne, próbował wciągnąć w orbitę swych wpływów mieszczaństwo bydgoskie. Pojawienie się nowego czynnika wiąże się ściśle z przygotowaniem powstania 1846 roku. Moment ten chciałbym nieco szerzej przedstawić.

II.

Powstanie 1846 roku, jakkolwiek teoretycznie spowodowane przez emigrację, związane było z ruchem narodowym, który zrodził się w Poznaniu. Marcinkowski, kładąc podwaliny pod czystopolski stan średni wprowadził na arenę walki o byt narodowy, nowy młody element ambitny i ekspansywny. Polski ruch ekonomiczno-polityczny, krótko po ugruntowaniu pozycji w stolicy Wielkopolski, nawiązał kontakt z organizacją walki zbrojnej. Już w zaraniu tego ruchu zaznaczyły się różnice między bardziej zachowawczym skrzydłem, które częściowo uznawało rolę przodującą warstwy szlacheckiej i radykalnym prądem, próbującym wyemancypować się spod wpływów dotychczasowych leaderów. Wodzem radykałów był księgarz Walenty Stefański. Stworzył on organizację polityczną nazwaną „Związkiem Plebejuszy". Podłoże ideologiczne związku nie jest dokładnie zbadane, zdaje się jednak bazować na chrześcijańskim komuniźmie. Niezwykłą popularnością cieszyły się wśród związkowców radykalne „Prawdy żywotne narodu polskiego" Kamieńskiego i „Partyzantka" Sztolzmana. Do rozłamu doszło na tle raczej taktycznym, Stefański parł do natychmiastowego wybuchu powstania, nie znalazł jednak należytego zrozumienia w komitecie poznańskim. Odmowę przyjął jako votum nieufności i próbował ująć akcję walki zbrojnej we własne ręce.

Niewygodne sąsiedztwo z Centralnym Komitetem nasunęło mu myśl przeniesienia siedziby związku na teren dotąd po macoszemu traktowany przez polityków poznańskich. W lutym 1845 roku zwrócił się Stefański do Rejencji bydgoskiej z prośbą o udzielenie mu koncesji na założenie księgarni, drukarni i wypożyczalni książek w Bydgoszczy. Wniosek poparty pochlebnym zaświadczeniem magistratu poznańskiego został z zadziwiającą lekkomyślnością przychylnie załatwiony. Dopiero po niewczasie dowiedziały się władze, że ów przedsiębiorczy księgarz to niebezpieczny ptaszek, który ma różne grzechy przeciwko cenzurze na sumieniu. Rejencja poznańska informując o tym wyraziła przypuszczenie, że chodziło mu o uwolnienie spod czułej opieki policji. Mistrz obchodzenia paragrafów pragnął jednak nie tylko uniknąć argusowych ócz cenzury i nie tylko chciał upozorować wyjazdy na Pomorze sprawami handlowymi, lecz snuł inne ważkie plany polityczne. Chodziło mu prawdopodobnie o przeniesienie bazy operacyjnej jak najdalej od siedziby Centralnego Komitetu.

Wobec braku ścisłych danych trudno nam odpowiedzieć na pytanie dlaczego nie wykorzystał otrzymanej koncesji. Wiadomo tylko, że rozwinął grę, której celem było opanowanie Pomorza. W tej grze wchodziła w rachubę nie tylko Bydgoszcz ale również Toruń a może nawet Chełmno. W każdej z tych miejscowości sondował grunt. W Toruniu był osobiście, aby jak się tłumaczył założyć filię swego przedsiębiorstwa. Do Torunia zwołał też zjazd związkowców w połowie listopada 1845 roku. Na korzyść tego miasta przemawiało jego położenie w ramach granic administracyjnych Prus Zachodnich, co ułatwiało swobodę ruchów na Pomorzu. Prócz tego zaważyć mogło przypuszczenie, że odległe władze prowincjonalne i rejencyjne nie od razu zorientują się w narastaniu wpływów polskich. Skupiający się tam od szeregu lat ruch emigrantów z bliskiego Królestwa Kongresowego gwarantował też możliwość lepszego zamaskowania zjazdu.

Niezrealizowany w roku 1845 projekt pozostawił jednak w umyśle Stefańskiego trwałe korzenie. Dowodem tego jest fakt, że w roku 1855 po prawie całkowitym bankructwie politycznym i częściowo materialnym przeniósł się do Bydgoszczy. Prowadził tu dobrze prosperujący handel drzewem; dorobił się i nabył część folwarku Bocianowo z cegielnią. Bliski kontakt z Królestwem i emigracją zwróciły nań uwagę policji bydgoskiej. Unikając szykan wyjechał w 1861 roku na dłuższy czas. Niespokojny umysł i wytknięty program polityczny ciągnęły go dalej na północ do serca Pomorza. Po burzliwym życiu więziony i prześladowany przez wrogów i zwalczany przez swoich zmarł w Pelplinie prawie w zapomnieniu. Na wieczny spoczynek przyjęła go ziemia pomorska, której poświęcił ostatnie lata swej pracy społecznej i politycznej. Historiografia nasza odnosiła się do Stefańskiego z niechęcią i nie zaszczyciła go dotąd żadną biografią. Nie ulega jednak wątpliwości, że jemu głównie zawdzięczać należy penetrację nowych haseł do najniższych warstw społecznych, przedewszystkiem zaś pierwszą energiczną próbę przełamania bariery oddzielającej Pomorze od życia narodowego po rozbiorach.

W Bydgoszczy spotkały się nowe akcje spiskowe, mianowicie Komitetu Poznańskiego i Związku Plebejuszy. Szczupłość źródeł nie pozwala stwierdzić czy istniała tu wzorem toruńskiej komórki organizacyjnej jakaś ekspozytura związku. O bliski kontakt z plebejuszami posądzać można wikariusza przy kościele farnym ks. Jana Jankowskiego; posiadał on bowiem dobre informacje o poznańskiej kwatery głównej. Nieostrożność związkowców nie pozwoliła jednak zapuścić agitacji głębszych korzeni. W listopadzie 1845 roku aresztowano kilku rzemieślników pod zarzutem przygotowania rzezi.

Katastrofę przyspieszyła gadatliwość kochanki jednego z aresztowanych. Usypiając niemowlę niemieckiego chlebodawcy użyła podobnych słów: „choćby wyrżnięto wszystkich Niemców, ciebie zabić nie pozwolę". Tę dziwną kołysankę podsłyszano i policja doszła po nitce do kłębka. Sięgając pamięcią do nieistniejących dziś akt, warto dodać, że głównym aktorem tej niezwykle naiwnej historii był czeladnik garncarski. Początkowo urosła ona w oczach wystraszonych Prusaków do rozmiarów „Nieszporów Sycylijskich". W gruncie rzeczy była jednak zlepkiem plotek, które wprawdzie wskazywały na akcję świadomą i zorganizowaną, nie dostarczyły jednak śledztwu przekonywujących dowodów. Ważnym dla nas jest stwierdzenie faktu, że pod cienką warstwą bierności narodowej i lojalności w stosunku do

władz, w łonie ludności polskiej żarzył się ogień nienawiści do zaborcy.

Konkretniejsze formy organizacyjne posiadała bydgoska placówka Centralnego Komitetu w Poznaniu, który po aresztowaniu Stefańskiego i prawie całkowitym rozbiciu Związku Plebejuszy stał się panem położenia. Demokratyczny program Komitetu głosił bodaj po raz pierwszy na ziemiach naszych tak szczerze i otwarcie program scementowania wszystkich klas społecznych na równych prawach i obowiązkach w jeden świadomy swych celów naród. Działalność rozpoczęto pod płaszczykiem pracy organizacyjnej. Pod koniec 1844 lub w początkach 1845 powstało w Bydgoszczy Kasyno Polskie, celem, jak wyraził się prokurator pruski „zbliżenia stanu dziedziców i stanu obywatelskiego (mieszczańskiego)". Z inicjatywy i kosztem tegoż Kasyna założono „około Wielkiejnocy 1845, szkołę polską, aby młodzieży ułatwić nabycie i utrzymanie wiadomości i miłości języka polskiego" a pośrednio aby „pobudzić i ożywić ducha narodowego polskiego". Obok Kasyna istniała czytelnia i wypożyczalnia książek. Chciano również zorganizować „Towarzystwo dla popierania biednych rzemieślników" aby, cytując znów słowa prokuratora, „uzyskać wpływ na stan obywatelski i tegoż przez to uczynić przychylnym dla celów rewolucyjnych".

Założycielem, sekretarzem i duszą Kasyna był Stanisław Sadowski, rodem ze Słupi pow. Szubin. Uczęszczał on do gimnazjum bydgoskiego, następnie studiował filozofię i agronomię w Niemczech. Po powrocie mieszkał dłuższy czas w Bydgoszczy w domu matki Ewy Nimfy Sadowskiej na Toruńskim przedmieściu. Przebywanie w kołach niemieckich zaraziło go podobno duchem kosmopolitycznym tak, że według aktu oskarżenia znalazł się na ścieżce wiodącej do utraty poczucia narodowego. Z manowców wyprowadził go starszy brat Nepomucen, również uczeń gimnazjum bydgoskiego, wybitny działacz polityczny a później wybitny uczony.

Wskazał mu on nowe horyzonty nie mieszczące się w ramach kastowości społecznej, intelektualnej i towarzyskiej. Od tej chwili rzucił się Stanisław Sadowski w wir pracy konspiracyjnej. Swą młodą 25 letnią energię poświęcił organizacji życia polskiego na terenie miasta i powiatu. Prócz instytucji już wymienionych powstało staraniem jego Towarzystwo Agronomiczne w Koronowie. Mianowany Komisarzem na powiat bydgoski i świecki podjął się syzyfowej pracy rozpalenia znicza rewolucji na nieprzygotowanym terenie. Do wyników jego fanatycznego poświęcenia trudno nam przyłożyć dziś właściwą miarę krytyczną. Działalność Stanisława Sadowskiego trwała zbyt krótko. Wicher reakcji niemieckiej zmiótł z powierzchni życia nie tylko dzieła ale i młodego ich twórcę. Skazany na karę śmierci w roku 1847; wyrwany z więzienia przez rewolucję berlińską, zginął w rodzinnej Słupi dnia 27 kwietnia 1848 roku z rąk nasłanej soldateski pruskiej. Nad trupem znęcano się wykrzykując: „Oto masz twoją wolność ty przeklęty psie polski". W styczniu 1846 roku rozwiązały władze pruskie Kasyno i jego przybudówki.

Listy członków Kasyna nie posiadamy. Pamiętnikarz bydgoski Trelewski wspomniał, że do Kasyna Polskiego przystąpili okoliczni ziemianie, garstka inteligencji miejscowej i kilku rzemieślników. Z aktu oskarżenia prokuratora pruskiego wiemy, że należał do niego wybitny członek Centralnego Komitetu Aleksander Guttry i kilkunastu wpływowych ziemian. Tylko dwa czysto mieszczańskie nazwiska przekazało nam to źródło. Mianowicie, wspomnianego już księdza Jankowskiego i bednarza Wojciecha Wojciechowskiego, który był starszym Kasyna.

Ofensywa szlachecko-postępowa w kierunku zdobycia serc biernej masy ludu obfitowała w gesty nieco teatralne. Nie szczędzono kiesy i nie żałowano uścisków bratnich. Jedną z najpoważniejszych manifestacji ludomanii był wielki bal polski, który odbył się w Bydgoszczy dnia 4 listopada 1845 roku. Około tysiąc osób wzięło w nim udział. Obowiązującym trunkiem było demokratyczne piwo. Przy dźwiękach poloneza sunął barwny, gradacją społeczną korowód tancerzy. W pierwszej parze piekarz Wakarecy z hrabiną Skórzewską, w drugiej żona szewca z hrabią Skórzewskim. Młodzież szalała dobijając ostatniego mazura, bo zdawało się, że w akordach muzyki dźwięczy już nuta trąbki bojowej.

Owocem tych rozpaczliwych umizgów było przełamanie lodów w stosunku do obywateli „żnińskich", których tu sprowadzono na święto pojednania. Ozdobieni barwami narodowymi polskimi i rzekomo nawróceni wrócili do domów. Jak zareagował proletariat bydgoski trudno określić. Brak przesłanek zasłania nam pole widzenia. Jeżeli jednak taki Wojciechowski, dość wyraźnie zaangażowany w ruchu polskim, w ostatniej chwili jeszcze miał obawę „aby szlachta po udaniu się powstania z ludem pospolitym nie postąpiła jak dawniej", to należy przypuszczać, że reszta nie inaczej myślała.

Akcja spiskowa zmierzała tymczasem do niefortunnego finału. Genialny wódz fantasta Ludwik Mierosławski uwieczniał na cierpliwej mapie sztabowej ruchy licznych armii duchów. W trakcie pracy zauważył brak osłony dla punktu zborczego w Rogowie. Niebezpieczeństwu zaradził kilku błyskawicznymi atakami. Główne natarcie skierowane było na Bydgoszcz. Na jednym ogniu spodziewał się upiec dwie pieczenie. Odciągnąć uwagę Prusaków i zaopatrzyć swój nieistniejący korpus artylerii w cztery pukawki bydgoskie.

Operacja na Bydgoszcz była kilkakrotnie przedmiotem obrad przywódców powstania. Najobszerniej omówiono ją dnia 8 lutego 1846 w Srebrno-Górze. Akcję zorganizować miał Stanisław Sadowski, który nigdy w wojsku nie służył. Chodziło o przejściowe zajęcie miasta, zabranie armat i wycofanie się przez Brdę i Noteć w kierunku Rogowa. Uwagę garnizonu spodziewano się rozproszyć niepokojąc równocześnie huzarów inowrocławskich. Siły zbrojne powiatów inowrocławskiego i szubińskiego przeznaczono do uderzenia od południowej strony a posiłki powiatu świeckiego, od północnej.

Po powrocie z Srebrno-Góry zaczął Sadowski z zapałem realizować powierzone mu zadanie. Zajęcie Bydgoszczy miało być dokonane w nocy z dnia 21 na 22 lutego. Wykonanie zgrubsza zarysowanego planu było trudne, jeśli nie beznadziejne. W drugiej połowie stycznia przeprowadziły władze wojskowe koncentrację oddziałów ściągniętych tu z Pomorza Zachodniego. Do tego czasu stacjonował w Bydgoszczy prócz sztabu batalionu landwery tylko batalion fizylierów 19 pułku piechoty w sile około 450 ludzi. W okresie koncentracji stanęła tu załogą brygada generała-majora Korwina Wiersbitzkiego (!), złożona z trzech batalionów 21 pułku piechoty, razem przeszło 1.500 bagnetów, z 3-go pułku dragonów, który zajmował przestrzeń na południe od Bydgoszczy aż pod Gniewkowo (620 szabel) i z kompanii 2 brygady artylerii konnej (75 ludzi). Obsadzając Bydgoszcz przecięto główną arterię komunikacyjną łączącą Poznań z Pomorzem. Pomorski ruch zbrojny był więc izolowany.

Pod osłoną bagnetów pruskich odbyła się w Bydgoszczy dnia 20. I. 1846 roku konferencja ministra spraw wewnętrznych Bodelschwingha z naczelnymi prezydentami prowincji poznańskiej i pruskiej. Powzięto szereg uchwał zmierzających nie tylko do opanowania sytuacji w obu zagrożonych prowincjach ale i do pogłębienia metod germanizacyjnych w kościele i w szkole oraz osłabienia polskiego stanu posiadania. Niedługo po wyjeździe oficjalnych dygnitarzy przybyli nowi goście na konkurencyjny zjazd sztabu organizacyjnego powstańczej armii okręgu pomorskiego. Notujemy więc ożywienie ruchu politycznego o dość szerokim podłożu. Oba momenty strategiczny i polityczny wskazują na kluczowe znaczenie Bydgoszczy w narodowej walce o Pomorze.

O siłach powstańców wiemy serdecznie mało. Organizatorzy powstania mierząc siły na zamiary operowali niewiadomą. Szczególnie mglisto wyglądał udział ludności miejskiej. Werbunek spiskowców ograniczał się do t. zw. dziesiętników, którzy dopiero w ostatniej chwili mieli zmobilizować swoje dziesiątki złożone z przyjaciół, znajomych i podwładnych. Akt oskarżenia daje jednostronny nie wyczerpujący materiał. W akcie tym poza wymienionym już Wojciechowskim i księdzem Jankowskim, do miejskiego środowiska należą jeszcze tylko nazwiska dwóch zdrajców, handlarza Szpiniewskiego i nauczyciela Leszczyńskiego, który był przewidziany na dowódcę ludności Bocianowa. Brak również wiadomości o liczebnym udziale kontygensów inowrocławskich i szubińskich w projektowanym natarciu od południa. Część powiatu świeckiego, gdzie należący do spisku Ks. Tułodziecki z Bzowa posiadał mir wśród chłopów, dostarczyć mogła w najlepszym wypadku około 300 ludzi. Jeszcze mniej zaufania wzbudzało uzbrojenie powstańców. Dubeltówka była rzadkim okazem a poczciwa kosa kościuszkowska wyższym gatunkiem broni. Znaczna większość zdobywać miała Bydgoszcz widłami i siekierami.

Szanse wyprawy były więc beznadziejne i tylko lekkomyślne rozlokowanie wojska pruskiego przy kompletnym zaskoczeniu załogi mogło ułatwić częściowy sukces. Kwatery wojska znajdowały się po prawej stronie Brdy, obiekt pożądania Mierosławskiego owe 4 armaty i magazyny pozostawiono natomiast jakby na przynętę w pobliżu Grodztwa po lewej stronie rzeki. Wykradzenie armat było więc teoretycznie możliwe, chodziło tylko o opanowanie na pewien czas mostu na Brdzie i zniszczenie lub zabarykadowanie tego jedynego wówczas przejścia; następnie o zapewnienie powstańcom drogi odwrotu. W tym też kierunku rozwinął Sadowski ustalony na posiedzeniu w Srebrno-Górze surogat planu. Projektował wzniesienie barykad na moście gdańskim i wytyczył linię odwrotu przez most pod Smukałą, którędy powstańcy ze zdobytymi armatami mieli się wycofać na Rynarzewo. Dowództwo wyprawy powierzono majorowi Radkiewiczowi z Brzeźna.

Gmach różowych nadziei zbudowano na kruchej podstawie, którą tworzył moment zaskoczenia. Tymczasem władze pruskie były już dość dobrze poinformowane o planach powstańców. Znaleźli się zdrajcy nie tylko wśród niepewnego elementu miejskiego i chłopskiego ale i „szlachetniej urodzonym" w rodzaju Karłowskiego z Dobieszowa nie dopisały nerwy w obliczu odpowiedzialności, jaka na nich zaciążyła. Aresztowania mnożyły się szczególnie w drugiej dekadzie lutego. Grunt zapalał się pod nogami, komunikacja z Poznańskiem została przerwana. W tej rozpaczliwej sytuacji rzucono widocznie myśl przyspieszenia wybuchu, sądząc prawdopodobnie, że zmianą terminu będzie można zaskoczyć wroga. Dnia 19 lutego wieczorem czekali powstańcy powiatu świeckiego na hasło. Czekali daremnie, bo w międzyczasie wskutek ostrzeżenia intendenta Stediona sprzątnęli im Prusacy armaty sprzed nosa. Determinacja różnych ryzykantów, którzy na własną rękę próbowali wyciągnąć konsekwencje z długo przygotowanego spisku wytrąciła jednak z równowagi władze

Miasto nasze oglądało dnia 20 lutego widowisko niecodzienne. Flegmatyczni Prusacy stracili nerwy. W godzinach rannych zbudził mieszczuchów odgłos trąb i bębnów. Był to alarm powszechny. Kompanie piechoty biegły w szyku bojowym ku bramom miejskim. Dragoni dosiedli koni, na rynku ustawiono nieszczęsne działa Mierosławskiego. Panowie adiutanci galopowali w różnych kierunkach z nader ważnymi rozkazami. Wszystkie wieże były silnie obsadzone; patrole krążyły nocą po mieście. Pikiety dragonów przeszukiwały okolice. Aresztowania trwały. Na tym panicznym gruncie rozrosła się plotka do karykaturalnych rozmiarów. Ktoś z autorytatywnego źródła wiedział napewno, że Koronowo już zajęte i więźniowie z domu karnego uwolnieni. Inny głosił, że w lesie Myślęcińskim stoi 600 wozów z Polakami; „każda z tych pogłosek", jak donosił miejscowy korespondent „Gazety dla Prus" zdawała się mieć nieco prawdopodobieństwa za sobą". Dostojne kolegium rejencyjne uzupełniając barwną scenerię udało się na stanowisko do gmachu przy ulicy Jagielońskiej. Pod przewodnictwem prezydenta Schleinitza w asyście wojskowej obradowano w permanencji dzień i noc. O czym mówiono historia się nie dowie i wskutek tego niewiadomo czy w sercach odważnych mężów nurtowała chęć ofiary, czy też kapitulacji na dogodnych warunkach.

Dzień pełen emocji minął z efektem prima-aprilisowym i z tego powodu prawdopodobnie nie przeszedł do kronik niemieckich. Romantyczne projekty powstańców zdobycia Świecia i Koronowa i uwolnienia więźniów politycznych spaliły również na panewce. Społeczeństwo wróciło do szarej troski o byt codzienny. Epilog powstania rozegrał się przed sądem berlińskim. Wyrok zapadł dnia 17 listopada 1847 roku. W stosunku do osób zaangażowanych bezpośrednio w akcji spiskowej na terenie Bydgoszczy był on szczególnie surowy. Stanisława Sadowskiego skazano na śmierć, dwóch głównych jego pomocników braci Ogrodowiczów Maksymiliana i Antoniego oraz majora Radkiewicza i Wojciechowskiego skazano na dożywotne więzienie.

(Dokończenie artykułu nastąpi w najbliższym numerze.)

Sprawy miesiąca

TYDZIEŃ ZIEM ODZYSKANYCH

Nie podlega dyskusji — szczególnie tego roku — celowość urządzenia przez Polski Związek Zachodni, corocznym już zwyczajem, *Tygodnia Ziem Odzyskanych*. Jasnym jest, że manifestacje, które w dniach 13 do 20 kwietnia masowo i spontanicznie pojawiały się w Szczecinie, Wrocławiu, Olsztynie, Jeleniej Górze i dalszych dwu miastach polskich ziem odzyskanych miały znaczenie zasadnicze. Zamanifestowanie naszej postawy posiadało doniosłość nietylko dla naszego wewnętrznego samopoczucia, uprzytomnienia słuszności naszych praw i konieczności walki o nie. *Tydzień Ziem Odzyskanych* odświeżył w pamięci naszych przychylnych — lub nie, obserwatorów tylko — lub zainteresowanych narodów niezmienność naszej postawy, opartej o *nieodwracalne* prawo historii.

Tydzień posiadał dla nas i dla innych jeszcze i ten ważny aspekt: przedstawił bilans dotychczasowych osiągnięć, o których prezes PZZ Wacław Barcikowski mógł powiedzieć: „Mamy przed sobą ogromne jeszcze wysiłki i ich olbrzymie, przewidziane w Narodowym Planie Gospodarczym wyniki, ale bilans dwuletniego dorobku naszego daje nam podstawy do dumy..." (*Polska Zach.*" nr 18.).

Spójrzmy na te wyniki na dwu odcinkach: *instytucji kulturalnych* działających na odzyskanych terenach i *ruchu wydawniczego*, wyrastającego z problematyki zachodniej.

W. Barcikowski w cytowanym artykule daje proste wyliczenie pozycji, które samo przez się jest dosyć wymowne: „Mamy politechnikę i Uniwersytet we Wrocławiu, Wyższą Szkołę Sztuk Pięknych, Archiwum Państwowe, Bibliotekę Uniwersytecką i Ossolineum oraz Instytut Śląski; Politechniki w Gliwicach i Gdańsku. Mamy w tymże Gdańsku Akademię Morską, Akademię Nauk Politycznych i Państwową Szkołę Sztuk Pięknych w Sopocie, Wyższą Szkołę Inżynieryjną i Akademię Handlową w Szczecinie, Akademię Weterynaryjną w Gorzowie, Instytut Mazurski i Wyższą Szkołę Prawno-Ekonomiczną w Olsztynie". Warto byłoby zadać sobie trud zestawienia tych danych — a brakuje tu przecież jeszcze teatrów, muzeów, bibliotek, periodyktów i wydawnictw — ze stanem tego samego terenu w roku 1939. Już sądząc *na oko* — zestawienie nie wypadłoby dla nas mało korzystne.

Mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Poznania, Katowic, Łodzi, Lublina, Szczecina, Wrocławia, Olsztyna i Gdańska mieli możność zetknięcia się najbardziej bezpośrednio z bilansem na odcinku wydawniczym. W miastach tych w ramach imprez *Tygodnia* urządzono analogiczne wystawy pod hasłem *„Książka Ziem Odzyskanych"*. Byłoby niemożliwością chcieć przedstawić tutaj pobieżnie choć najnowsze pozycje, które w ostatnich tygodniach dołączyły się do prac wydanych wcześniej. Trzebaby zastrzec się naturalnie, że ilość — to jeszcze nie wszystko. Ale ta ilość jest istotnie imponująca, — i nawiasem mówiąc, stawia pismo, które chciałoby sumiennie to wszystko co się ukaże recenzować — w dość trudnej sytuacji. Wyliczmy tu na koniec chociaż instytucje, których to główna zasługa: więc Wydawnictwo samego *PZZetu; Polskie Wydawnictwo Zachodnie* w Poznaniu; Instytuty: *Zachodni* w Poznaniu, *Bałtycki* w Bydgoszczy, *Śląski* we Wrocławiu i *Mazurski* w Olsztynie; wreszcie *PZWS* w Warszawie *(Biblioteka Ziem Odzyskanych)*, nie wymieniając firm prywatnych, lub mniej czynnych na tym odcinku.

Nie ulega wątpliwości, że coroczny *rachunek sumienia* — w tym sensie, jak to pojął *Polski Związek Zachodni* — jest pożyteczny i nieodzowny.

OGÓLNOPOLSKI ZJAZD GEOGRAFÓW

Niedalej jak przed miesiącem z tego miejsca pisaliśmy o *Zjeździe Naukowym Historyków Pomorza*, zorganizowanym przez Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Dynamizm świata naukowego Torunia jest coraz oczywistszy: Polskie Tow. Geograficzne, oddz. w Toruniu, nadesłało nam w tych dniach zawiadomienie o urządzeniu wspólnie z oddziałem szczecińskim — *Ogólnopolskiego Zjazdu Polskiego T-wa Geograficznego* w dniach 25—29 maja.

Jak donosi komunikat, zjazd będzie „przeglądem powojennych polskich prac geograficznych, przy czym dużą uwagę zwróci się na zagadnienie geograficzne Ziem Odzyskanych".

STANISŁAW ŁUCZAK

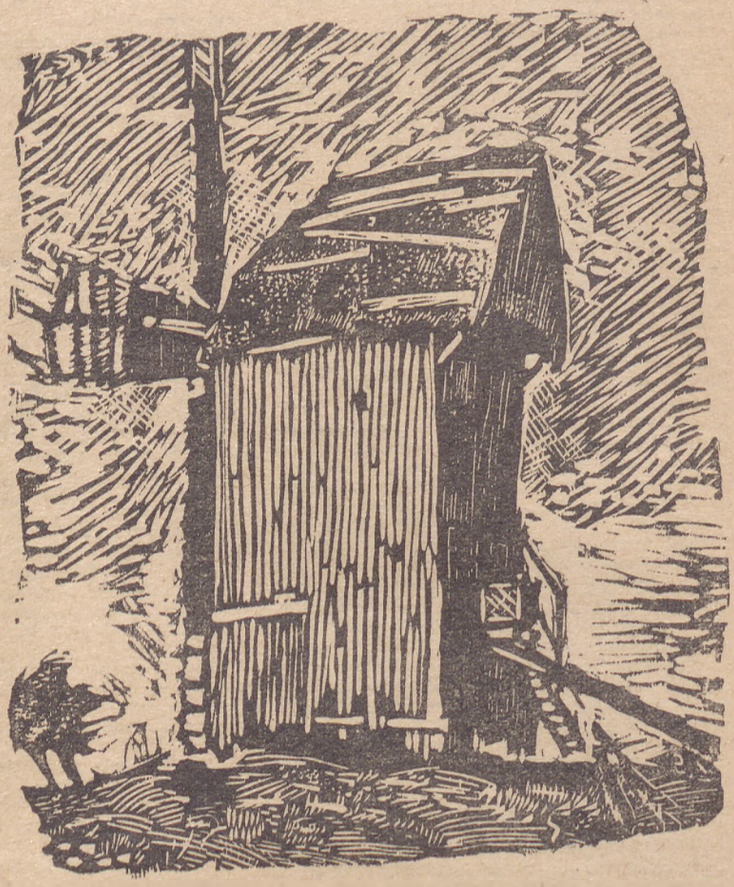

WIATRAK

Drzeworyt

Marian Turwid

ŚMIGA *)

Stary Wróbel żył z wiatru, jak inni żyją z ziemi, ognia lub wody. Wiatr był mu wszystkim: parobkiem i panem, przyjacielem i wrogiem. Stary młynarz dosyć miał czasu, by dobrze się poznać z dziwacznym towarzyszem wielu swoich lat. Choć przez te długie lata nie ruszał się prawie z miejsca, to przecież wszelkie tajniki wiatru stały się dlań równie jawne, jak dla żeglarzy włóczących się bez przestanku po dalekich i szerokich morzach. Jak wilki morskie umiał stary młynarz — na wiele godzin naprzód — wymiarkować dokładnie każdą zmianę w kapryśnym usposobieniu swego pana i sługi. Nie pozwolił się nigdy zaskoczyć niespodziewanym przedzierzgnięciem się usłużnego i potulnego pachołka w złe i rozhukane wichrzysko. Nieomylnie przewidywał chwilę, w której — pracowity i uległy wyrobnik z nagłą i wielkopańską fantazją przerzucać się zacznie od kaprysu do kaprysu i miast pomocy w robocie nieść szkodę i zniszczenie. Stary młynarz, jak starzy żeglarze, nie bał się ani wybryków wichury, ani nawet wściekłych zrywów huraganu. Jak żeglarz żagle z reji, tak on już zawczasu uwalniał miecze śmig z nadmiaru dranicowych piór. A także na czas obracał wiatrak swój tak, by na wściekły impet wichury nie wystawiać broń Boże słabszych ścian bocznych, tylko mocno osikowymi szkudłami opancerzoną ścianę wietrzną. Jej to bowiem przypadała rola odpornej tarczy i — chytrze zastawionego sidli. Rozbijający się o nią wiatr — miał się, w odwrocie, wplątywać niebacznie w rozkrzyżowaną drabinę śmig. Wiadomo: będzie wściekły. Będzie się szarpał, miotał, wdzierał w szpary szkudeł i targał całym budynkiem tak, że nie jeden raz zadrży korzeń wiatraka i aż stęknie ciężko od nadmiernego wysiłku jego gruby stember. Dreszcz przebiegnie nawet twarde przyciesie, ciężkim klocem przywarte do ziemi. Ale tęgie przypory zastrzałów zrobią swoje. W chwili groźnej wpierać się poczną w kolumnę stembra z taką siłą, że na nic wysiłki wichury, by go wyrwać, wywrócić lub złamać. Więc wicher — niczego nie wskórawszy u podstaw, cały swój atak skieruje wyżej — na drżące ramiona śmig. O! one nie ostoją się na pewno wściekłej jego sile. Połamie je, rozerwie i poroztrąca, jak uschłe konary drzew. Jakiż bo opór stawić mu może cieniutki napiór drewnianych skrzydeł. Wystarczy gwałtowniejszy podmuch, by płachty śmig, oderwane od mieczów rozleciały się w tysiące dranicowych piór. Ale — niedoczekanie twoje — wichrze! Stary Wróbel czuwa. Stoi przy dyszlu wiatraka jak sternik przy sterze, gotów przeciwdziałać natychmiast każdej zmianie kierunku wiatru. Posłuszne nakazom dyszla ślizgacze nakierowują skrzynię wiatraka tak, by ulewa wichury walić mogła tylko od jego czoła. Bo tu, choć wicher dmie jak opętany, to przecież potężny jego strumień przecieka nieszkodliwie pomiędzy mieczami skrzydeł obnażonymi zawczasu z części dranicowych łat. Przelewa się jak woda po przez nazbyt szerokie otwory przetaka. Przecież znaczna część piór w skrzydłach jednak pozostała. Na igraszkę wichrowi czy na przynętę?

*) Fragment opowiadania.

Niechże sobie na nich wywrze całą swoją złość. Nic im to nie zaszkodzi. Bo na każde uderzenie wiatru odpowiedzą natychmiastowym cofnięciem się. Wiatr podąży za nimi w pogoni, lecz śmigi ustępują wciąż i odbiegają. Coraz prędzej, coraz prędzej. Aż zaślepione wichrzysko ani się spostrzeże, jak wplata się w kołowrót beznadziejnej gonitwy. Jak — chcąc nie chcąc — zamiast ciosów zadaje tylko — pchnięcia. Pchnięcia tak wiatrakowi potrzebne, jak człowiekowi uderzenia serca. I tak oto: szalony, pijany swobodą, rozhukany, wspaniały i zły wicher zaprzągnięty zostaje do roboty, niby koń do kieratu. Niby dziesiątki, niby setki rozhukanych koni. Śmigi wirują aż świszcze. Wał śmigowy kręci się jak fryga. Spieszy się zębate koło zapędowe, by życie otrzymane od śmig przekazać coprędzej cywiom umocowanym na sosze i obracającym kamień. Bo serce drewnianego wiatraka jest — kamienne. Na proch ściera wszystko cokolwiek mu podrzucą. Jest bezlitosne i nienasycone. Albo jest milczące i martwe. Daremnie je wtedy błagać i zaklinać. Mijają całe doby, czasem całe tygodnie, a ono ani drgnie. A gdy ożywi się i rozrusza, wtedy również nie dba ani o dzień ani o godzinę. I wtedy młynarze w dzień i w noc trwać muszą na posterunkach. Choć spadają z nóg, choć ręce im mdleją, pył oczy rozpraża aż w uszach huczy. Wiatrak pracuje niby ogromny zegar, w którym oszalała sprężyna. W takie dni i noce stary Wróbel nie kładzie się do snu. Czuwa nad mechanizmem swego wielkiego zegara. I baczy, by nie zatrzymano go bezpotrzebnie. Nie łatwa to zresztą sprawa. Spróbuj hamować podczas nawałnicy a iskry poleca z drzewa. A cały wiatrak jakże łatwo pójść mógłby z dymem. Więc stary młynarz nie schodzi z wiatraka, jak żeglarze nie schodzą z pokładu. Często ujrzysz go wtedy na galeryjce, jak na kapitańskim mostku. Przed laty stawał na niej nie tylko jako kapitan, ale jako admirał całej eskadry żaglowców. Siedemnaście wiatraków, w szeroko rozrzuconej gromadzie machało tu wtenczas pracowicie ramionami. Lecz jego wiatrak wymachiwał najsprawniej. Był pierwszy. Bo on pierwszy dawał znak do walki z wichurą — i on najdzielniej stawić umiał czoła orkanom i huraganom. Nic dziwnego. Miał przecież najdoświadczeńszego komendanta i najsprawniejszą załogę. ... — To ci buł przyścipny łobuz! — wspominał nieraz stary Wróbel swego d'ugoletniego pierwszego oficera. — Wzionym gu na wiatrok prawie od dziecioka i przyuczułym jak się należy. Robota to mu sie ino tak polyla w ryncach. A po śmigach to tak ci sie skrabać potrafiuł jak po drobce. Tyn ci sie rozumioł na wiatrach. Prawie tak, jak — jo. Gdzie ta mojymu chłopokowi do niegu. Ino, że jak psiadusza dorós, to bardzi lubioł dziewuchy niż wiatr. I to buło jegu złe. Nie roz mu mówiułem: Nie lotej tak Stachu za dziewuchami, bo sie wylotosz. Ale bo to chcioł słuchać! Oż sie i dochrapoł. Jak dziś to pamiyntom: Była niedziela i my z mojym Frankiym pośli do miasta na niszpory a Stachu zostoł na wiatroku. Mioł czekać na wiatr, bo już cicho było bez pore dni. Po kościele namówiuł nos wuja Andruch na karty. Karta mi szła jak nigdy. Kozyry to mi sie ino tak sypały. Wiync sie tyż i zasiedziołym do późnygu wieczora. Oż tu przychodzi Walek z Psor i powiado: Ni mógym pryndzy przyść, bo wielki dyszcz spod i wiatr sie zrobiuł paskudny. — Te Walek, nie bondź gupi! — wołom do niego, — i mi na tyn wiatr nie godej, bo żebyś wiedzioł, że taki wiatr na wiosne to istne złoto, to mój nejlepszy pomocnik. — Ładny pomocnik, nima co! — zaśmioł sie Walek. — Tak gu wuja chwoli a on wujowi całom śmige od wiatroka oderwał!...

Myślołym, że szczyniok gupoty sobie stroi, ale nie. Jak sie zaczon przysyngać, i Pana Boga i matke kochać, to mnie goronc oblecioł. Porwołym sie z miejsca, a Franek za mnom. Józefie świynty — śmiga oderwano! Wyleciołym na ulice, a wiatr mi zaro czopke z głowy zdar. I gdzieś sie psiajucha przepadła, bo do światła daleko, a laternie to tak tańcowały na wietrze, że nic prawie widać nie było. — Szukej Franek czopki! — krzyknołem, — a jo polete na wiatrok. Nik cheba jeszczy tak pryndko z miasta do wiatroków nie dolecioł, jak jo wtynczos. Koguś ta potrunciułym po drodze, ale nie wiym kogu. Dopiyry za miastym zrobiuło sie troche widni. Całe niebo zawalóne było dycht chmurzyskami, tylko niży, nad borym, świciuł slabo długi, siwy posek. Na tym posku już zdaleka zoboczułym wszystkie wiatroki i mój tyż. U wszystkich wiatroków śmigi krynciły sie jak wartołki, tylko mój wiatrok stojoł i jak kalyka wyciongoł w góre jednom, sztywnom rynke.

Nic patrzołym gdzie droga, gdzie płot, gdzie rów. Leciołym bez łogrody, bez pole, byle pryndzy. Józefie świynty! co sie tam mogło stanonć! Co tyn psiaskóra Stachu wyrobio? Gnoty szczyniokowi połumie, łapy mu poobrywom! Żeby tak nie uwożać! Żeby takom krzywde i takom porute porzomnymu wiatrokowi zrobić!

Mało sie nie przewróciułym o leżoncom śmige. — Stachu!! — krzyknołym roz i drugi. Ale wicher mi całki głos nazod do gymby wpakowoł. Wiync wpodym do wiatroka i szukom. Ciymno tu i głucho. Ino cało buda, sie trzynsie jak we frybrze, bo wicher łupie prosto w stawidłowom ściane. Kolo zapyndowe zastawione! Psia krew! Tak w niom stynko i trzeszczy, jakby wiatr chcioł zaro wszystkie tryby wyłamać i drugom śmige oderwać. A tu Stacha nima i lampy na swojym miejscu tyż nima. Gdzieś sie podzioł cholero! gdzieś sie skrył!? Stawidło trzebno co pryndzy popuścić, wiatrok obrócić, a tu ani świata, ani pomocy. Oż pod som dach za chłopokiym wylozym. Bogać tam. Ino golymbie niepotrzebnie wystraszułym.

Wiync po omacku zeszedym z wiatroka na dwór, do dyszla. Patrze — a tu błysnyło światło w szporze podbudówki. — Mom cie ty chorobo Tuś bratku! Czekej! — Jakisiś drong potronciułym nogom, złapołym za niegu i już bułym przy dźwiczkach. Szarpnołym niymi tak, że choć zamkniynte były od środka na hoczyk, to sie otwarły od razu. Usłuszołym babski pisk. Wiatr zaro zdmuchnuł lampe, ale przecie zoboczułym co te świnie robiom. Krew mnie zaloła. — To ty cholero tak wiatroka pilnujesz. Wiatr mu śmigi obrywo, a ty sobie pod wiatrokiym świństwa z dziewuchom wyprowiosz! Już jo ci świntuchu wyprawie wesele! Poczekej! — I zaczonym prać gdzie popadło. — A becz, a skomlij tero jedno z drugiym! — Mosz — psia krew! — za mojom śmige! Mosz! Dziynka Bogu, że buło ciymno, bo buł bym tych świntuchów w ty pierszy złości na śmierć poprzetroncoł.

Wygoniułym jych na noc i na dyszcz. — I żebyś mi sie tu wiyncy paskudzie jedyn nie pokazywoł! Żebym cie już wiyncy na oczy swoje nie widzioł! — — —

Na drugi dziń przyszła matka Stacha prosić za synym. Płakała biydoczka i prosiła a prosiła. I mnie tyż żol było, bo

Sprawy miesiąca

SMIERC JULIUSZA OSTERWY

W pierwszych dniach maja zmarł w Warszawie Juliusz Osterwa — jedna z najpiękniejszych postaci polskiego teatru ostatniej doby. Wraz z jego śmiercią ubył nietylko znakomity aktor, reżyser i organizator ale przede wszystkim wychowawca nowego pokolenia ludzi teatru.

PRZED KONKURSEM SZEKSPIROWSKIM.

Zbliża się termin rozstrzygnięcia ogłoszonego jesienią ub. roku, przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, *Konkursu Szekspirowskiego*. Nieledwie wszystkie teatry dramatyczne w kraju zdecydowały się wziąć udział w tych szlachetnych zmaganiach, wysilając swe siły do granic możliwości — by wystawieniem *Hamletów, Wesołych Kumoszek i Snów Nocy Letniej* dać świadectwo swym artystycznym aspiracjom.

W związku z szekspirowskim festivalem zrobił się ruch dookoła zagadnień szekspirowskich nie tylko w teatrze. Szereg ciekawych studiów zamieszczonych w ostatnich zeszytach miesięcznika *„Teatr"* zdaje się potwierdzać wyrażone w tym piśmie (nr 5, r. I) przez M. Rulikowskiego bardzo dla nas miłe stwierdzenie, że jeśli chodzi o literaturę szekspirowską, to *„po Anglii, Ameryce i Niemczech Polska w tej dziedzinie zajmuje następne z kolei miejsce pod względem ilościowym. Obfitości pozycji bibliograficznych niewiele ustępuje ich jakość."* Jeden jest tylko punkt ciemny: brak dobrych przekładów całości dzieła Szekspira. W tym samym studium („Shakespeare na scenach polskich") M. Rulikowski proponuje więc *„ogłoszenie konkursu na wzorowe tłumaczenie dzieł Shakespeare'a. Wielka byłoby zasługą Ministerstwa Kultury i Sztuki, gdyby po tak szczęśliwie pomyślanym obecnym konkursie szekspirowskim z kolei zanicjowało i ten drugi."* Wartoby się nad tą propozycją zastanowić.

Tymczasem czekamy na wystawienie zapowiedzianych przez teatry sztuk i rozstrzygnięcie konkursu. Na Pomorzu zgłosiły przystąpienie do konkursu prawie wszystkie sceny. Prawie równocześnie na afisz Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu wchodzi *Romeo i Julia* w opracowaniu, reżyserii i inscenizacji dyr. Wiliama Horzycy, — Teatru „Wybrzeże" w Gdyni: *Jak wam się podoba* w koncepcji dyr. Iwo Galla. Teatr Szczeciński pracuje nad *Poskromieniem Złośnicy*. Szkoda, że kierownictwo Teatru Polskiego w Bydgoszczy — przeliczywszy widać swe siły i możliwości techniczne zdecydowało niestety wycofać zgłoszony na konkurs *Wieczór Trzech Króli* — grając niezawodną w okresie kanikuły *Ciotkę Karolę i Żołnierza Królowej Madagaskaru*.

FESTIVAL SWIETLICOWY.

Zakończony Festivalem warszawskim *konkurs pracy zespołowej świetlic* związków zawodowych określić trzeba jako imprezę celową — i udaną. Mimo pewnych, zdarzających się tu i ówdzie improwizacyj, można powiedzieć, że dokonane zostało *poruszenie* terenu, *pobudzenie* inicjatywy indywidualnej i zbiorowej. Moment pozytywnej rywalizacji o pierwszeństwo wpłynął wyraźnie na zwiększenie wysiłków, przynosząc w wyniku dużo godnych pochwały osiągnięć.

O terenie Pomorza nie można powiedzieć, ażeby był w akcji świetlicowej tak zaawansowany jak inne ośrodki, np. Śląsk. Tym miłej było usłyszeć, że zespół jednej z bydgoskich fabryk na festivalu warszawskim uzyskał w konkurencji inscenizacyj słowno-muzyczno-choreograficznych pierwsze miejsce.

MUZYCY PISZĄ DLA SWIETLIC

W części, również w związku z tegorocznym festivalem o którym mowa wyżej — choć przede wszystkim w wyniku daleko głębiej sięgającej troski o dostarczenie świetlicom wartościowego repertuaru współczesnego — Centralna Komisja Z. Z. w Warszawie ogłosiła w grudniu ub. roku *konkurs muzyczny* na utwory nadające się do wykonania przez zespoły świetlicowe.

Niedawno ogłoszono wyniki konkursu. Spośród 199 nadesłanych kompozycji jury konkursowe wybrało następujące utwory: *Simfoniettę* op. 13 Stefana Poradowskiego (znanego kompozytora poznańskiego), *Suitę Kujawską na solo, chór i orkiestrę symf.* Floriana Dąbrowskiego (Bydgoszcz), *Kołysankę na chór miesz.* H. Obuchowicza (Warszawa) *Pieśni Śląskie* Jerzego Młodziejowskiego (Poznań) oraz szereg innych.

chłopoka od małości na wiatroku chowołym. A taki przyścipny do roboty buł, jak żodyn. Ale trudno. Jak służby nie dopilnowoł — to darmo i świynty Boże nie pomoże. Porzondek musi — psiakrew — być, nie?

Wydołym staryj rzeczy Stacha i kwita. Niech sobie idzie z Panym Bogiym. Jo ta już wiyncy Stacha widzieć nie chce... —

Stoi stary Wróbel na galeryjce i choć o tym nie wie, to czuje się zupełnie tak samo, jak admirał w którego oczach zatopiono całą eskadrę. Siedemnaście wiatraków pracowało tu dawniej, na szerokiej i równej przestrzeni rozłożonej między miastem a lasem. Dla wszystkich było dosyć zboża, dosyć roboty i dosyć wiatru. A teraz?...

— A tero? — z rezygnacją kiwa siwą głową stary Wróbel, — tero zostołym jo som.

Marian Turwid

Franciszek Grott

NALOT

Pękało miasto w hukach jak burza —
wiatr w ogniach kłęby dymu wydłużał,
ulice lękiem przesypał kurz.

Rozrywał bruki spłoszony galop.
Syczały domy z trzaskiem się paląc,
rażone hukiem bombowych salw.

Zamknęły niebo eskadr pierścienie.
Motorów śpiewem, stalowym drżeniem
i trwogą wzbierał wrześniowy dzień.

Straszliwym świstem, czarnym piorunem
na popłoch spadał ognia ładunek,
wybuchał płachtą czerwonych łun. — —

Przebrzmiały w grzmotach burzące kroki.
Nad klęską torów, lejem głębokim,
komuś krwi maki zgasiły wzrok.

Nad miastem w ranach wspinał się w górę,
zniżał krzyk syren skruszonym murem,
płaczem wybuchał gryzących chmur.

Więcej, niż nalot, grom szybkostrzelny
zgrozą po brzegi serca wypełnił
pierwszy w śródmieściu niemiecki hełm.

Witold Degler

NATCHNIENIE

Sekunda, jedno okamgnienie,
błysk jakiś, rozjaśnienie
i jakaś boleść i ukłucie,
żal i pragnienie i przeczucie —
i nagle krew zakipi wszystka,
tchu w piersiach braknie, w gardle ściska,
rozkosz się wielka w serce wlewa,
coś w duszy szepcze, woła, śpiewa!
I rośniesz cały, potężniejesz —
czujesz, że jesteś, że istniejesz,
że cię owiało jakieś tchnienie,
bolesno - słodkie zachwycenie!
I całym sobą szczęście chłoniesz,
dokądś szybujesz i gdzieś toniesz
i tak upojon, tak urzeczon,
w twarz patrzysz najtajniejszym rzeczom —
w głowie ci płonie słów pożoga,
a w małym sercu czujesz Boga.

Herman Hesse i Nagroda Nobla

PONAD DOBREM I ZŁEM

Od czasu, gdy publicysta Ossiecky, znajdujący się wtedy właśnie w więzieniu hitlerowskim, został laureatem Nobla, Hitler zabronił niemieckim artystom i uczonym przyjmowania tej nagrody i odtąd nowi laureaci nie bywali prawie tłumaczeni na język niemiecki. Tolerowano jedynie pisarzy, którzy otrzymali tę nagrodę już dawniej, chociaż i tych również tylko do wybuchu wojny. Potem pozostali na placu już tylko literaci skandynawscy, „nordyccy", a więc albo zdeklarowani jak Hamsun, kollaboracjoniści, albo też odpowiadający i tematyką i swą postawą wymaganiom faszyzmu.

Zresztą z obcych pisarzy uznawano i drukowano jeszcze tylko tych, nawet obywateli państw sprzymierzonych, którzy już to wyszydzali lub krytykowali stosunki w swym kraju, już też dostarczali w swych pismach pożywki dla niemieckiego imperializmu albo hitlerowskiej propagandy. Do pierwszych należał Linklater („Don Juan" — paszkwil o Ameryce) Mitchell („Przeminęło z wiatrem" — obraz antagonizmów amerykańskich), Cronin („Gwiazdy patrzą na nas" — angielska satyra społeczna), do drugich np. Knittel („El Hakim" zwalczający imperializm angielski). Na marginesie zaznaczyć warto, że dziwnym trafem dzieła tych samych pisarzy zachodnich wydano najwcześniej również obecnie w języku polskim.

Osobne miejsce zajmowała w Niemczech twórczość flamandzka i szwajcarska, zwłaszcza pisana w tym samym niemieckim języku. Dawniejsi pisarze jak Gottfried Keller zostali włączeni poprostu do Panteonu niemieckiego, wśród nowszych przeprowadzono w czasie wojny selekcję, którą przetrwali tylko nieliczni, miedzy nimi najnowszy laureat Nobla, Hermann Hesse.

Musiał on jakoś zasłużyć na wyróżnienie go przez wydawnictwo Fischer- Suhrkamp, które tak gorliwie rozpowszechniało jego książki, że dzieła zebrane uzyskały w czasie wojny siedemdziesiąte z kolei wydanie, ustępowały więc tylko popularnością milionowym nakładom książek Hamsuna. Nawet najsławniejsi niemieccy pisarze za wyjątkiem oczywiście samego Hitlera, dalej Karola Maya i wreszcie drugiej biblii nowoniemieckiej Hansa Grimma pt. („Naród bez przestrzeni") nie posiedli tej poczytności.

Twórczość Hermanna Hessego bezsprzecznie więc musi posiadać cechy przyciągające przeciętnego czytelnika niemieckiego, działające na jego wyobraźnię, odpowiadające jego psychice. Rzeczywiście łatwo stwierdzić, że dzieła Hessego są typowo niemieckie, co więcej — pokrywają się niemal całkowicie ze sposobem myślenia, z ideałami germańskimi. Już zresztą lat temu trzydzieści krytycy niemieccy byli jednomyślni na tym punkcie, że wydana wtedy powieść pt. „Demian" odsłania istotę i cele duszy germańskiej. Sam temat powieści musiał po prostu pasjonować niemców, jest to bowiem historia drugiej młodości człowieka dojrzałego, „barwna i płomienna", zdaniem niemieckich krytyków, dla nas dziwaczna i zbyt obfitująca w wybryki. Psychikę germańską, przyzwyczajoną do dyscypliny w życiu publicznym, pociąga jednak zawsze perspektywa wybujałości indywidualnej, nieokiełznanie w życiu osobistym.

Jeśli przytoczyłem wyżej słowo „cel", muszę się zastrzec, że nie oznacza ono tego, co zwykliśmy pod to pojęcie podstawiać. Krytyka niemiecka chwaliła zawsze Hessego za jego odwagę przyznawania się do stanowiska, z punktu widzenia ogólnoludzkiego pozbawionego kryteriów moralnych, jego bowiem zdaniem, nie jakiś daleki, czy ostateczny cel jest ważny, lecz sama droga ku celowi stanowi istotę życia. Ktoś powiedziałby, że zasada ta sprzeciwia się starej germańskiej dewizie o celu uświęcającym środki, nie ma w tym jednak sprzeczności, jeśli zważyć, że stosuje się ona raczej do rządów i systemów niemieckich, podczas gdy w życiu prywatnym zachodzi potrzeba bardziej skomplikowanej filozofii moralnej.

Z WYSTAWY REPROD. ARTYST. W POM. DOMU SZTUKI

PAUL CEZANNE

PEJZAZ MORSKI
olej

A jaką moralność wielbi Hesse, łatwo się przekonać na podstawie każdego jego dzieła. W noweli „Klein i Wagner", najpiękniejszej rzekomo w dorobku pisarza. Klein tak mówi do jednej z postaci: „jest pani jak drzewo, jak góra, jak zwierzę albo gwiazda, całkowicie sobą, całkowicie samą i nie chce pani być czymś innym, niż pani jest, obojętnie, czy złą, czy dobrą". Tak więc Hesse odrzuca wszelkie hamulce moralne, żąda poddawania się własnym popędom, kierowania się tylko instynktem, jest zwolennikiem nieskrępowanego indywidualizmu.

Apoteozą jednostki wyższej ponad otoczenie, niezwykłej, nie mającej nic wspólnego ze zbiorowością, dla której nie istnieją uznane przepisy i prawa, śmiało można nazwać największe dzieło Hessego: „Narcyz i Złotousty". „Złotousty" artysta, włóczęga i amant przeciwstawiony jest Narcyzowi, mnichowi o zaletach mściciela. Jedna to historia przygód miłosnych artysty, który wprawdzie ostatecznego swego celu, stworzenia potężnego dzieła, któreby było kwintesencją jego doświadczeń życiowych, nie osiąga, lecz umiera spokojnie, bo — jak mówi — „wiele ukochał". Dziwna to wprawdzie była miłość, egoistyczna i niestała, ofiarująca tylko tyle, ile zbyło po uszczęśliwieniu samego siebie, lecz nawet chłodny, ascetyczny Narcyz w powieści Hessego wydaje się posiadać poważne wątpliwości, czy właśnie takie życie nie jest bardziej wartościowe, nie bierze Złotoustnemu nawet za złe dwóch zabójstw i licznych zdrad. Teoria o „nadczłowieku" uznającym tylko zasadę własnego prawa moralnego, znalazło tu jeszcze jedno, artystyczne zresztą w wysokim stopniu, wcielenie.

Jeśli ci, którzy przyznali Hessemu nagrodę Nobla, chcieli podkreślić, że potępienie Niemiec nie powinno się łączyć z potępieniem kultury niemieckiej, wybór ich był doprawdy nad wyraz nieszczęśliwy. Jeśli chcieli zadokumentować, że wysokie walory artystyczne, których niesposób odmówić dziełom Hessego, mają w sztuce jedyne znaczenie, to muszą, spotkać się ze sprzeciwem ludów, które w imię prawdziwego humanizmu uznającego prawa jednostki tylko w ramach ogólnoludzkiej zbiorowości, podjęły walkę o byt człowieka i ofiarną tę walkę wygrały. Ale jeśli, jak należy przypuszczać, pragnęli dać wyraz afirmacji kultury mieszczańskiej, zagrożonej w swym trwaniu i broniącej się teoriami „nadczłowieczego indywidualizmu" — to zasługują na potępienie tych wszystkich, którym leżą na sercu zasady rzeczywistej równości człowieka.

Od pisarza i artysty, nie żąda się wprawdzie, aby pisał wbrew swemu poczuciu realizmu, może on zarówno obrazować zło jak i dobro, nie potrzebuje on nawet być koniecznie sędzią i stróżem praw moralnych, nie wolno mu jednak stawać po tej stronie barykady, gdzie do walki wystąpiły siły wsteczne, które bronią sprawy jednostek nie poczuwających się do wspólnoty z ogółem.

Al. K.

ERRATA

Do studium K. W. Zawodzińskiego o Kraszewskim w poprzednim zeszycie „Arkony" wkradły się źle odczytane z manuskryptu dotkliwe błędy: należy czytać *„glebae adscripti"*, a imię zasłużonego poety, hetmana Rzewuskiego, dziada autora „Pamiątek Soplicy" — *Wacław*, nie *Stanisław*. W zakończeniu rubryki „Między krytyką a poetyką" powinno figurować również nie *Stanisław*, lecz *Roman* Pilat. Kilka wierszy wyżej niepotrzebnie przypisuje się Fr. R. Siedleckiemu prace w dziedzinie *historii*: należy uzupełnić — *historii literatury*.

Z KUJAWSKIEJ POEZJI CHŁOPSKIEJ

Franciszek Beciński

O SŁOŃCA WIOSENNYM WSCHODZIE

Znienacka, cicho zmrok w pola odpływa, jak rzeka
i sączy się het, w bruzdy i rowy.
Wieś drugą już widać... wierzb zroszone głowy
a za nią: — bór, poranku młodością pachnący zdaleka.

Zbudziły się wreszcie ptaki z drzemki, prześniwszy na drzewach
noc całą —
i patrzą, jak przez łąkę zrosiałą,
przez zieleń sadów czerwień słoneczna ku wsi się przelewa.

Przecknęła się wieś. U studni zaskrzypiał żóraw czubaty,
dym się z kominów zakurzył, jak z tajek...
Coś, jak z biblijnej legendy, — jak z tysiąca bajek,
zabłąkało się tu ze słońcem rano, między chłopskie chaty.

NA DRUGIM BRZEGU

Po tamtej stronie rzeki — szerokiej rzeki,
lato zostało nie dopalone, jeszcze tlące.
A dni poszły odmienne — poszły na przeciw
innym dniom; —
lato zostało za rzeką — żarne, lato kipiące...

I nie dokwitły nawet słoneczników rzędy —
a rzeka szalała;
śmierć tchnęła od nurtu i chłód
— i, tyle dni samotnych za rzeką zostało...
gorzał nie dopalony czas — czas obcy — obłędny!
Od tamtej strony dzień każdy schodził do wód
i, budził się po tamtej: — jutra nowy wschód.

I nie było poezji — — wszystko znów powszednie,
szare takie; marniał tam czas utracony,
i niosły swój smutek oczy ponad tą rzeką
beztrwożnie, bezwiednie — — —
wracały do tamtych dni!...
I nie wiadomo nic:
czy tu, czy tam za rzeką świat został strącony
gdzieś w bezpowrotność samotną, szaloną — daleką.

A chmurno wciąż było... w zwinięte skrzydła siekł deszcz...
Trudno policzyć dnie, zebrać wszystkie w pamięć — — —
dniami tamtymi rzeki płynęła wciąż woda,
przepłynąć jej ani wstecz zawrócić niepodobna;
wszystko aż do dna zapada w nią jak kamień,
— plusk słychać ponury, — ciszą, przelewa się dreszcz.

A za rzeką, nie dośpiewane dni czekają!
(i nikt tam nie przejdzie) — wołania nie dosłyszą
— nie wołaj ich! Tamten czas już skamieniał, stanął
i patrzy w dolinę: — jak fale się kołyszą.

O ZACHODU GODZINIE

Pójdź ze mną w pole bliskie, pójdź! Cóż ci to szkodzi!..
Będziemy szli miedzą, sami, —
tylko we dwoje między zbóż ścianami.
Z mojego pola zobaczysz, jak słońce cudownie zachodzi.

Już się zorzy różowej na niebie rozpostarła wstęga,
już świat cały przestaje oddychać...
Jakże cichutko! Słychać
jak słońce coś mówi do ziemi, jak jej ustami rumianemi sięga.

Słyszysz: jak szepcą wieczorny pacierz nawet zboża płowe,
jak ptaki do gniazd płyną śpiesznym lotem — — — —
...jeszcze chwilę bądź! Nim z powrotem
odejdziesz, niech rosy wieczorne uperlą śliczną twoją głowę.

Między krytyką a poetyką (2)

METODY I SKUTKI PEWNEJ ROZRYWKI LITERACKIEJ

Jedno pismo, dążące — nie bez powodzenia — do zajęcia stanowiska przedwojennych *„Wiadomości Literackich"*,*) stosuje często wypróbowane tam chwyty zainteresowania czytelników. Dopuszczenie do czynnego niejako udziału w życiu literackim biernego i bezsłownego dotychczas jego widza jest zasadniczą wspólną podstawą psychologiczną celowości tych chwytów: zarówno publikowania listów czytelników (forma udziału szczególnie popularna w Anglii), jak i rozmaitych plebiscytów; moment rywalizacji, walki o nagrodę zaostrza jeszcze bardziej zaciekawienie, z jakiem otwiera odbiorca numer pomysłowego periodyku. Są jeszcze wśród tych form takie same w sobie nieszkodliwe, których połączenie daje niebezpieczne, a nawet trujące związki chemiczne.

Tak np. *plebiscyt*. Można nie uważać go za ostateczną instancję rozstrzygającą o wartości dzieła literackiego (która ustala się jednak w kolejnej serji zamaskowanych i rozłożonych w czasie plebiscytów!), ale nie można zaprzeczyć, że głosy całej czytającej publiczności, reprezentowanej przez odbiorców najpopularniejszego i najbardziej bezstronnie redagowanego pisma mogą pożytecznie równoważyć wpływy *„kabały"* literackiej, świadomej czy nieświadomej, akcji kół i kółek *„wzajemnej adoracji"* oraz kapliczek wyznawców takiej czy innej doktryny ściśle literackiej czy o szerszym zasięgu ideowym. Łatwiej jest oczywiście zorganizować kampanję krytyczną na rzecz lansowanego pisarza lub uniemożliwić wystąpienia przeciwne paru niezależnych krytyków, niż wpłynąć na opinję kilkudziesięciu tysięcy inteligentnych ludzi, wypowiadających się nie pod terrorem ani w nadziei nagrody. Tak więc nic nie można mieć w zasadzie przeciw plebiscytom literackim, ufając naturalnie, w uczciwość obliczania głosów.

Ale już *„Wiadomości Literackie"* — nie wiem zresztą czy to było oryginalnym pomysłem ich redaktora — zaostrzały atrakcyjność plebiscytu momentem *konkurencji o nagrodę*. Nie pamiętam już ściśle, w jaki sposób kombinowały się te sprawy w *„Wiadomościach"*, wiem tylko, że najświeższa realizacja tego połączenia w *„Odrodzeniu"* zawiera w sobie błąd zasadniczy, chcę wierzyć, nie zamierzony i nie zauważony przez organizującą plebiscyt redakcję.

Mianowicie, w myśl warunków konkursu, nagroda przypada temu z głosujących, który najbardziej zbliżył się swem votum do wyników plebiscytu. Tak więc głosujący był kierowany nie do najszczerszej wypowiedzi swego sądu zgodnie z głębokiem przekonaniem swego sumienia estetycznego, lecz do odgadywania jaki będzie sąd większości. Nieodłączna od wyniku każdego takiego plebiscytu literackiego banalność i przeciętność wyrażającego się w nim gustu, potężnie ciążący nad nim czynnik *mody* dnia dzisiejszego i suggestji zabiegów reklamowych na rzecz tego czy innego pisarza, dzięki takiej organizacji plebiscytu uległy kolosalnemu zwielokrotnieniu, zostały podniesione do potęgi stopnia równego bodaj — ilości uczestników.

Trudno się spodziewać po jakimkolwiek plebiscycie wykrycia nowego Norwida. Ale ten o którym mowa nie wysunął, nietylko pomiędzy trójcę zwycięską, ale nawet i pomiędzy dalsze pozycje wskazane choćby przez kilkaset głosów, książki pisarza cieszącego się takiem uznaniem jak Iwaszkiewicz, nie kryjącego się bynajmniej na ustroniu, występującego w najlepszej kondycji swego dojrzałego talentu, jednego z najświetniejszych w dziejach prozy polskiej. Poprostu nie na niego w danej chwili pracowały *„rozwrzaskliwe czasów przechwałki"*, które utrwalone w formie wyników plebiscytu, będą podstawą wielu fałszywych reputacji literackich.

K. W. Z.

*) Pisane przed pojawieniem się „Nowin Literackich".

Na szczególne życzenie autora w rubryce powyższej stosować będziemy stale tzw. *starą pisownię*. *(Red).*

Jerzy Hoppen

BRONISŁAW JAMONTT

Z POWODU JUBILEUSZOWEJ WYSTAWY W TORUNIU

W powodzi dzisiejszego malarstwa pejzażowego, która zalewa niemal wszystkie wystawy obrazów, idąc w parze z martwą naturą, pejzaże Bronisława Jamontta stanowią zupełnie odrębną pozycję. Są one wynikiem psychologicznie uzasadnionych nakazów twórczych autora odmiennych od ogólnie panującej i przyjętej maksymy poimpresjonistycznej.

Należy sobie uprzytomnić, iż pejzaż w zrozumieniu dzisiejszego malarstwa wywodzi swój początek z francuskiej szkoły impresjonistycznej. A wszystkie fazy tej szkoły przez jakie przeszła w ciągu ostatniego 80-lecia nawracają jednak do kanonów wypowiedzianych przez twórców impresjonizmu w drugiej połowie zeszłego stulecia. Najistotniejszą cechą takiego pejzażu jest jego wyraz barwny inspirowany bezpośrednim kontaktem artysty z naturą.

Oryginalność Jamontta polega na tym, że jakkolwiek studiuje on również z natury, to jednak zebrany tą drogą materiał przetwarza następnie w pracowni w skończone dzieło, podporządkowane swej twórczej woli, niezależne i pozbawione dokumentalnej ścisłości. Upodobana przez niego taka metoda pracy w zasadzie już jest zaprzeczeniem impresjonizmu. W tak opracowanych dziełach niema przypadkowości, są one przemyślane i ukształtowane według zamiaru autora, jednym słowem są one komponowane. Jasnym jest, iż kompozycja pełnię swej wartości osiągnie nie tylko w rozwiązaniu czysto formalnych zagadnień, lecz przede wszystkim w swym wyrazie wewnętrznym, nadanym jej przez artystę w imię osobistych przeżyć. Sugestywność indywidualności Jamontta jest tutaj nad wyraz silną, tak że istotną treścią obrazu staje się niemal nie wyobrażony przedmiot lecz stan duszy autora rozpięty pomiędzy liryzmem a tragizmem. Rzeczowość obrazu zanika prawie, przechodząc w wizję pod naciskiem utajonej w nim siły wyrazu. Nie przeszkadza to bynajmniej w obiektywnej ocenie pejzażów jego pod względem uznania konkretnych i wybitnych wartości rysunkowych, kompozycyjnych i kolorystycznych.

Z pośród obrazów Jamontta należy rozróżnić dwa zasadnicze typy: jeden to — byłaby już wspomniana tutaj kompozycja, a drugi — to studium malowane z natury, lub notowane z pamięci. Pierwsze noszą wszelkie cechy sztuki monumentalnej, są zwarte w układzie brył i płaszczyzn, jednolite w tonie, charakterystyczne w rysunku, statyczne w wyrazie. Drugie, będąc więcej bezpośrednimi i impresyjnymi za naczelne zagadnienie mają kolor. Tu zauważyć należy, że gama kolorystyczna Jamontta jest spokojna i stonowana skutkiem dyskretnie zharmonizowanych barw. Jaskrawsze akcenty z rzadka tylko, jako

BRONISŁAW JAMONTT

„MODRY FARTUSZEK" W TORUNIU

Tempera

(OBOK): BRONISŁAW JAMONTT „PRZEDMIEŚCIE" OLEJ

konieczne fortissima, podsycają miejscami pewne partie. Zagadnienia kolorystyczne są najróżnorodniejsze, od szarych niemal ołowianych tonacji do jasno — złocistych, rozsłonecznionych, i od szmaragdowo — zielonych do brzoskwiniowo — różowych. Drzewa są bodaj najulubieńszym tematem Jamontta. jest on ich prawdziwym znawcą, czuje je, rozumie, wnika w ich istotę. Na drzewo patrzy on nie tylko jak na barwną plamę — przyczynek do zagadnień formalistyki sztalugowej — lecz jak na żywy organizm ze śladami wieku, burzliwych przejść, lub wegetacji w słonecznym cieple. Mocarny pień rozrasta się w konary, przechodzi w gałęzie, drży listowiem, a wszystko to organicznie ze sobą się wiąże, tętni życiem. Niebo przeważnie bywa zasnute obłokami czy to w strzępy porwanymi wichrem, czy zelektryzowanymi nabrzmiałą burzą, czy znowu ulatniającymi się w oparach wieczoru. Drugim ulubionym rodzajem krajobrazu jego są to motywy podmiejskie: chylące się ku ruinie małe domostwa i omszałe stare mury: zespół desek, belek i kamieni — przytulisko pokoleń, gdzie zawsze prawie dominują formy archaiczne.

Wszakże nie tylko w świetnie odtworzonych fragmentach leży wartość prac Jamontta. Rdzeń artyzmu jego tkwi w tym jakimś nieuchwytnym n a s t r o j u, który przenika cały obraz i który tak wyraźnie zeń promieniuje. Nie można do obrazu jego zastosować kryteriów dziś już tak utartych w frazeologii doktryn malarskich. Rozbiór jego dzieł możliwy byłby prędzej przez przyjęcie trwalszych i stałych kanonów. Należy mówić o dobrym rysunku, o światłocieniu, o tonie, o kompozycji. Boć i autor wywodzi wiedzę swą ze szkoły starszej. W tym jest on probierzem i potwierdzeniem tej odwiecznej prawdy, że dobra sztuka jest zawsze żywa.

A słowa powyższe niech udowodni fakt, iż pomimo uniezależnienia się od szkoły impresjonistycznej, na międzynarodowych wystawach obrazy Jamontta umieszczane są obok Vlaminck'a, Bonnard'a, Denis'a Utrilla, Signac'a i innych czołowych przedstawicieli wszechświatowej sztuki nowoczesnej i są z nimi w zupełnej zgodzie znajdując aprobatę poważnej krytyki.

Wybitny krytyk amerykański A. F. Cochrane w miesięczniku „The American Magazine of Art" oceniając pracę Jamontta w słowach pełnych uznania z zachwytem podkreśla moment tragiczny pejzażów jego, dostrzegając także ten jakiś specjalny stosunek artysty do „żywiołów natury sztuka ujarzmionych!" (Forces of nature disciplined by art!). Tak pisał on w sprawozdaniu z jednej z licznych wystaw w Chicago i w Pittsburgu, w Carnegie Institute International, gdzie Jamontt 5-krotnie był zaproszony.

Trzydziestoletni okres pięknej pracy Jamontta płodny w bogaty dorobek — w nikłej zaledwie części złożył się na jubileuszowy pokaz. Przeważna ilość jego dzieł znajduje się w prywatnym ręku lub po wielu muzeach, włączając i Amerykę, przynosząc zaszczyt sztuce polskiej reprezentowanej wśród obcych przez naszego artystę.

Nadmienić należy, iż Bronisław Jamontt był asystentem profesora Ferdynanda Ruszczyca na Wydziale Sztuk Pięknych U. S. B. a następnie po przejściu prof. Ruszczyca na emeryturę objął po nim katedrę malarstwa pejzażowego na tymże wydziale. Obecnie jest profesorem malarstwa na Wydziale Sztuk Pięknych U. M. K. w Toruniu.

Władysław Dunarowski

KUKUŁKA I SZPAKI

Wszystko odbyło się zwyczajnie. Ledwie Hanka weszła do izby, powiesiła torbę z książkami na drewnianym haku i nieco podjadła wyziębłej brukwi, zaraz babka postawiła przed nią kosz szarych klębów wełny i kazała skubać.

— Wypróżnowałaś się przez całe przedpołudnie, to choć tyla zrób. Dobre czasy macie w tej szkole. Dawni tak nie bywało.

Dziewczyna jeszcze nie ma wyrobionego zdania co do tych dobrych czasów, ale wie jedno, że wolałaby każdą robotę, byle nie tę, od której puchną palce i oblepiają się niemiłosiernie tłustym brudem. Tym czasem jak na złość wełny wcale nie ubywa. Czy to skubanie nigdy się nie skończy?

Znad stosu spiętrzonych zwojów wełny rzuca Hanka wyczekujące spojrzenie w stronę babki. Bo na dziś mogłoby być dosyć.

Ale starowina siedzi dumnie za krosnami, śmiga czółenkiem tam i z powrotem — i ani pomyśli o czym innym. Tka płótno i tak jest pochłonięta robotą, że nie dostrzega zmroku, jaki od czarnych Gorców aż tu przywędrował i rozlał się po izbie. Cała jej dusza weszła w te nitki szare i to płótno, zwijające się w coraz bardziej grubiejący walek. Babka tka płótno, jak tkała niegdyś, kiedy nie była babką, ale młodą góralką. Tka od samego listopada, dzień po dniu. Zrosła się chyba z tym warsztatem, bo inaczej nikt jej nie widział jak przy krosnach. Na zgarbione plecy narzuciła starą katanę, bo ziąb ciągnie od okna. I dalej tka. Nie przerywa. Mocno stuka „postaw", zbijając płótno, które potem wolno nawija się na walec. Babka zaś głośno liczy łokcie, ocenia przędzę i od czasu do czasu woła na Hankę, by związała zerwaną nić.

Dziewczyna podrywa się, biegnie do krosien — i już nitka jest w porządku. Ale babka ma okazję pomarudzić na porządki, że tak marnie uprzędły nici; że teraz ona musi się tyle kłopotać. Ile to czasu przez to straci.

— Dostosześ. Hanuś, znów się urwało.

Dziewczyna myśli o czym innym. Nie o zerwanych niciach, nie. Ale o polu, o tym śniegu za stodołą, gdzie z górecki tak ładnie się zjeżdża aż do potoka. A choć wiater świszcze i ziąb szczypie w nogi, zawsze tam milej, niżeli w izbie, gdzie czarno i duszno. A jak nie ma być duszno, jeżeli dziadek z babką boją się przeciągów boją się zimna, więc nie pozwolą otwierać okien ani drzwi. Więc zaduch coraz cięższy. Może powiększa go to, że za piecem stale schną sosnowe szczapy... może wełna... może te króliki, które babka na zimę wniosła z obory do izby, żeby nie zesiętniały...

— Hanka, czyś ogłuchła?

Prawda: nić się urwała. Ach, żeby tak babka wyszła gdzieś do sąsiadów... żeby nawet zachorowała — ale tak niebardzo... Hej, toby Hanka wiedziała, co z sobą robić.

Lecz nic się nie dzieje podług życzeń małej Hanki. Dalej idzie robota w stukocie krosien i wśród utyskiwań babki. Widać, że baba bez tego stukotu i bez utyskiwań żyć by nie mogła.

— Babko — nabiera śmiałości wnuczka — możebyście se odetchnęli. Już się całkiem ściemniło.

— Jeszcze kwilnie porobię, pół łokietka ino. Ty składaj wełnę. Na dziś dosyć. Trza zapolećpod cyganem. Łokrzaski przeschły, beda się poliły.

Hanka podskoczyła z radości. A babka dalej wystukuje swoją pieśń życia. Czasem na krótką chwilkę jej myśl oderwie się od nitek szarych, przebiegnie minione lata, zatrzyma się przy tym, co było w życiu radosne, choć krótkotrwałe, a co pełne trudu i walki. I choć tego wesela nie było wiele, przecież warto się przy nim zatrzymać, przypomnieć... Co, znów się nić urwała?

Babka się złości, bo pracę przerwać musi, a jej się tak spieszy. Naprzyjmowała roboty od ludzi, a kto wie, czy do wiosny wykończy. Wiosna już za pietami.

Tymczasem Hanka rozpaliła ogień i teraz nie wie, co z sobą robić. Chciałaby cosi, lecz sama nie wie co. Więc przylepia

nos do małej szybki okna i patrzy na czarną ścianę lasu Mogielnicy.

— Babko, byliście wy kiej na samym szczycie Mogielnicy?

— Coś ta strzeliło do głowy? Należże wody do żeleźnioka, bo pryska. Jaką ty masz tę głowę? Ze szkoły wnet wyjdziesz, a nic nie znać po tobie... Pod sprawnością, że nic. Na Mogielnicy czym była? Możem ta i była. Nie pamiętam.

Stuknęła mocniej krosnami, Bo nieprawda z tym niepamiętaniem. Tak się jej tylko powiedziało. Dosyć się nalatała po Mogielnicy i sąsiednich górach, gdy Feliks tam pasał przez lato. Latała na grzyby, na jagody, jedzenie nosiła braciom, którzy tam drzewo rąbali — a zawsze tak się jakoś składało, że z Felisiem się uwidziała. Od tego do tego, aż zanieśli na zapowiedzi. Potem działo się wszystko zwyczajnie. Zaczęli gazdować i we dwójkę pchać swą dolę. Tylko że nie bardzo było na czym gazdować. Więc po roku wyjechał Feliks do Ameryki, gdzie spędził sporo lat w hucie i jazgocie jakiejś stalowni. Wrócił głuchy i z dużymi ranami na nodze, które stale się odnawiały, ale dolarów coś przywiózł i grunt dla dorastającej córki kupił.

Po kilku latach znów trzeba było wyjechać za morze, do tej samej stalowni, bo dzieci się skądś nabralo, więc dla nich o gruncie też trzeba było pomyśleć. Póki sił starczy. Póki człowiek trzyma się jako tako. Gdy wrócił trzecim razem, był już dziadkiem a babka — babką. Na Mogielnicę rzadko które spozierało, choć sterczała ku niebu przed ich oknami.

Za to Hanusia noskiem rozgrzała szybę i spoglądała w tamtą stronę, ku Mogielnicy, gdzie w jednym ze stu parowów jest jej dom, w którym matka także tka płótno a siostra robi swetry na zarobek. Gdzie brat Jasiek... No co do Jaśka nie jest pewna czym jest zajęty. Może szewcuje. Tak mało go pamięta. Przez całą wojnę tylko z partyzantami trzymał, w domu nie usiedział ani chwili, toteż nic dziwnego, że Hanka zaczęła go uważać za obcego. Dziś las jest pusty i cichy, Jasiek pewnie w domu siedzi, ale Hanka poszła do babki, aby być jej wyręką, i nic nie wie, co się tam dzieje.

O ojcu wspomniała sobie na samym końcu. Bo to najsmutniejsze. To przecież tak niedawno było. Ktoś doniósł, że Niemcy robią obławę na partyzantami. Że z dwóch stron otoczą Mogielnicę. Widać, niemieckie szpicle wywęszyły, bo nie sposób, żeby swój zdradził.

Więc Andrzej pospiesznie usuwa z obejścia to wszystko, co mogloby go zgubić. Zapasy żywności, broń, koce... Dużo tego. Samych granatów wór ciężki. Ach, te granaty.

Wieczorem wpełzł do chaty na czworakach poszarpany ludzki łachman z wypłyniętym okiem, z urwaną stopą i tysiącem mniejszych ran, silnie brocząc krwią. To był Andrzej. A Hanka nie poznała swego ojca.

Teraz Andrzej jeszcze bardziej musiał się kryć, dopóki nie pozdrowiał mało wiela. Bo potem już nie potrzebował się bać niczego: ani szpiclów, ani obław, ani łapanek na roboty, ani wszystkich szwabów razem. Niczego. Tak, niczego się nie lęka, ale i nic go już nie cieszy. Ożywił się nieco na wiadomość o zupełnej klęsce Niemiec i pokoju, lecz nie na długo. Bo potem przyszła jeszcze większa apatia. Czasem dla rozweselenia zakuśtykał aż do babki. Trza się przecież czasem przewiedzieć, jak się tam jego Hanka sprawuje.

Lecz babka wnuczę chwali, a jego zasypuje pretensjami. Bo czy potrzebne to było? Sam zdrowie stracił, dzieci nie odchował, a i gospodarka skapieje do cna.

Andrzej milczy. Cóż tam babce tłumaczyć, co było potrzebne, a co nie. Deklamować o Polsce, Ojczyźnie, poświęceniu, nie umiał. A dlaczego brał udział w tym wszystkim, co się potajemnie tu działo, a czego najlepszym świadkiem była Mogielnica, tego zdefiniować nie potrafiłby ani wtedy, ani dziś. Było coś takiego w powietrzu, w ziemi, w sercu i w każdym oddechu ludzkim, co nakazywało niszczyć Niemców na każdym miejscu, wszędzie. On się temu głosowi nie sprzeciwiał. A że przy tym siebie tak nadwyrężył... A no przez własną nieostrożność najwięcej. Chociaż w tym pośpiechu... No, dobrze że się tak skończyło. Moglo być dużo gorzej. Ile ich tam leży w Mogielnicy, to tylko on coś o tym wie. Nacięte krzyżyki na starych pniach i inne znaki wskażą drogę do tych, po których ślad już rozpłynął się w wirze wielkich wydarzeń.

Babkę trochę wzruszył wygląd Andrzeja, jego smutek w pozostałym oku, ale mimo to marudzi.

— Widzisz, żebyś był jak inni, tobyś tu nie styrcoł na tej jałowiźnie, ale byś pojechał z innymi na owe grunta, jakie dają na Zachodzie. Nic, wierzyć się nie chce, żeby to była prawda. Bo jakże? Całe grunta, budynki i wszystko? Mocny Boże! Mój stary trzy razy się wlókł do Ameryki, zdrowie stracił i ledwie tych parenaście morgów dokupił, a dziś bez niczego... Całkiem się mi w głowie miesza, jak myślę o tym. Jemu dochodzi dziewięćdziesiąt, mnie idzie na siedemdziesiąty ósmy rok, a z tego razem byliśmy ledwie parę lat. Bo czasu, jak wrócił trzecim razem, już nie rachuję.

Andrzej roześmiał się, babka syknęła ze złości. Potem jeszcze dodała:

— Z ciebie, kiej cie tak oporządzili, też baba pociechy mieć nie będzie. Widzi mi się, że ty a mój stary — nie wielka różnica.

Właśnie dziadek wszedł cichutko do izby, a zobaczywszy Andrzeja, ucieszył się serdecznie.

— Dobrze, żeś przyszedł. Zwichnąłem se rękę a nie ma nikogo, żeby mi trochę naciągnął. Jak cię proszę... Ino mocno pociągnij!

Babkę denerwuje to ciągłe gadanie o zwichnięciu ręki. Gdzieżby zwichnięcie powtarzało się co parę dni.

— Nie bądźże, Jędruś, cudokiem i starego nie słuchaj! Zwyczajny rymatys przywiózł z tej Ameryki, a plecie wciąż o zwichnięciu. Powtarzam mu nie raz i mówię do rozumu, ale on swoje i swoje. Kto ino nabliży, każdego molestuje, aby mu rękę naciągnął.

— Mojeśty, nie słuchaj jej, bo ona nic nie wie. W nocy se zwichnął i dobrze pamiętam, kiej to było. Jeszcze mocniej pociągnij, jeszcze... o! No, może mi należy. Bożeś ci zapłać.

Staremu zdaje się, że ów nowy ból przysłoni tamten: a gdy ustanie — to niezawodnie razem ustaną. Z tej radości gotów opowiedzieć coś ze swych przeżyć w Ameryce. Dowiaduje się jednak, że większe nowiny przynosi Andrzej. Bo ani razu nikt nie gadał, że Jasiek ma zamiar jechać na grunta. Inni jeździli na przepatry, wracali, znów odjeżdżali, ale Jasiek siedział i nigdzie się nie ruszał.

— Kawalerom przecież nie dają gospodarstw — wtrąca się babka.

— Przecież jest w latach, to nie trudno zaradzić temu, żeby nie był kawalerem. Transport odjeżdża za tydzień, w tym czasie dużo można zrobić. Ksiądz nie robi trudności, to reszta też pójdzie gładko.

Znowu dużo dopytywania, z kim się Jasiek żeni, co bierze, kiedy wesele. Andrzej jest w kłopocie, bo właściwie to nie wie, z kim się syn żeni. Więc zasłania się dyplomatycznymi niedomówieniami, że to niby jeszcze nieugodzone, że niewiadomo.

Po prawdzie, to jego mało przejmuje całe wesele. Dawniej było co innego: od tego kroku zależał cały los. Toteż dokładnie badano, czy te jej morgi warte są uprawy, czy z nich wyżyje, pilnowano każdej pozycji przy zapisach. Dziś to nieważne. Jasiek dostanie grunt z budynkami, więc niech się żeni, z kim chce. Byle dziewczyna była robotna, bo tam na tylim gospodarstwie lenić się nie można.

— Swięta prawda, robotna musi być — przytwierdzają oboje. — A nie wiesz, daleko to stąd?

— Nie bardzo. Od Krakowa jeszcze drugie tyle.

Więc uznali wszyscy, że istotnie niedaleko. Nie żadna ukraina. Nawet przez morze nie trza jechać. Swój kraj.

Babka ciężko westchnęła i spojrzała na starego. A potem raźno zabrała się do krosien.

— Widzę, że straśnie pilnujecie roboty. A przecie wam nie nowała.

— Co ty mówisz! Wiosna już, już, a kiej pokończę wszystko?

— Po co żeście tyle naprzyjmowali?

— Ano widzisz... ten prosi, ten prosi. Zreśtą jużbym miała gotowe, żeby baby lepiej przędły. Ale że nici wciąż się rwią...

— Mówicie: nici się rwią... Za to wiosna u was lada dzień. U nas jeszcze śnieg, zaspy miejscami na chłopa.

— Tak jeszcze u was? Nie dziwota, Mogielnica zasłania, duży cień... Ale jak ruszy, to ruszy

Wreszcie ruszyła. Od paru dni wiosna. Więc wszystkie kłopoty maleją i nikną. Babka nie narzeka, a Hanka welny nie skubie. Radosna zmiana. Pochylone nad warsztatem plecy babki grzeją się przy wiosennym słońcu. Bury kot bawi się na podłodze nitką z ostatniego motka.

A potem tysiące spraw innych. Warsztat tkacki idzie na strych, a babka gałęzią choiny omiata ściany z kurzu. Potem obmywa obrazy, wyciera stary zegar z kukułką. Przy tym musiała nacisnąć jakąś sprężynę, bo ptaszek wyskoczył, nawet kiwnął się parę razy, ale głosu wydobyć nie mógł. Kobiecinę wielce to rozrzewniło.

— Widzisz go! Co on se myśli? Myślałam, że już całkiem zepsuty... Ty, stary, kiedyś ty go przywiózł z Ameryki — za pierwszym czy drugim razem? Pewnie nie pamiętasz...

Dziadek nic nie odpowiedział dlatego, że nie słyszał, co do niego mówiono. Dzisiaj ręki sobie dziwnym trafem nie zwichnął, ale za to ogłuchł jeszcze bardziej. Toteż ciężko się z nim dogadać. Dłubie coś przy oknie, próbuje otworzyć. Do izby wpada świeży zapach gór i wiosny.

Babkę jakby oczarował ten dzień. Kręci się, biega, wszędzie ją słychać, choć wcale nie jest zła. Po prostu króluje.

— Hanuś, kraj ziemniaki do sadzenia! Dziadek, ruszaj do kuźni! Zawczasu trzeba naostrzyć brony i pług. Uwijajcie się! Wiosna!

Hanka jakby nic słyszała. Babka o tym, a ona o czym innym.

— Babko, już bażki złocą się na olszynach! Widzicie? Babko, szpaki na gruszy za stodołą się ścielą.

Babka choiną odpędza ją do roboty. Sama też wzięła się do krajania. Do koszów spadają połówki, ćwiartki — byle z oczkiem. Bo właśnie w tym oczku kryje się cała tajemnica życia. Z kuźni zalatuje metaliczny dźwięk żelaza. Cała wieś tętni przedziwnym rytmem wiosny.

Władysław Dunarowski

Z WYSTAW PLASTYKI W POMORSKIM DOMU SZTUKI W BYDGOSZCZY

J. SIMON - PIETKIEWICZOWA
Rysunek

„KOBIETY Z RAVENSBRÜCK"

Paul Valery pisząc o Corocie *) stwierdza ową głęboką, już nie psychologicznie ale i fizycznie sprawdzalną prawdę: „...ornament w swej podstawowej zasadzie jest naturalną reakcją naszych zmysłów wobec nagiej przestrzeni. Dążą one do umieszczenia na niej czegoś, co zaspakajałoby najlepiej ich funkcję percepcji. Tak człowiek, który umiera z pragnienia, wyobraża sobie znakomite napoje, a płonący samotnik obleka cień w żyjące ciało".

Tak jest rzeczywiście. Człowiek wrażliwy na kształt i barwę długotrwały ich brak odczuwa jak głód do tego stopnia dokuczliwy, że staje się poprostu męczarnią. Trudno to wytłumaczyć ludziom, którzy nigdy nie byli w więzieniu czy w obozie. Ale ci którzy to przeżyli, pamiętają: szare bloki, szare błoto pod nogami, ziemiste szpetne głowy i piszczele, obwieszone brudnymi szmatami, druty, opryskana oliwą maszyna, prycze, stół, kocioł z zupą, miska — i tylko tyle przez nieskończenie długie miesiące. Byłam zaniepokojona swoim stanem, gdy spostrzegłam, że chropowatości tynku i plamy na ścianie nad prycza zaczynają mi się układać w jakieś przedziwne kształty — ornamenty, postaci, kompozycje, że tak samo „grają" grudki gliny, rysy i zadrapania farby olejnej na maszynie, że same maszyny w udręczonych, co prawda, bezsennością oczach przybierają postaci dziwne, czasem pokraczne, czasem zabawne — nowe. Teraz już wiem, że to było normalne — właśnie to, o czym mówi Valery — samoobrona psychiczna.

Nieodparcie nasunęły mi się owe wspomnienia gdy oglądałam obozowe prace Simon-Pietkiewiczowej. Wiem, że dla artystki to była także samoobrona — takie twórcze transponowanie na „własny język" otaczającej choćby najszpetniejszej rzeczywistości. Zamiast śledzić kreski i plamy na brudnym tynku czy na błocie, kreśliła je sama na kupionym za chleb papierze. Wynikały z tego zresztą pewne psychologiczne i artystyczne konsekwencje: W owych pracach, które miały być nie pogłębieniem tragizmu i beznadziejności ale instynktowna ucieczką od nich, nie rozpaczy, dramatyzacji — czuje się natomiast przenikliwe spojrzenie, które drapieżnie analizuje kształt każdy, by stworzyć z jego elementów swoją własna nową syntezę. Pozwala to artystce, przynajmniej w momentach twórczych, zachować pewien dystans wobec własnych i cudzych cierpień, czasem nawet dostrzec śmieszność zjawisk, skądinąd tragicznych („Kobieta w bieliźnie", „W łazience", niektóre „Opatrunki" itd.). Modelki Pietkiewiczowej nie demonstrują rozpaczliwych gestów, i grymasów — przeciwnie, najczęściej spokojnie pozują, czasem się uśmiechają. Chcą wyglądać ładnie. W scenach grupowych także unika artystka, nie tylko dramatyzacji, ale nawet narracyjności, wszelkiej „literatury". Kobiety siedzą obok siebie, z robotą na drutach lub bezczynnie, modlą się zbiorowo, chore leżą. Myślećby można — nie dzieje się im żadna krzywda. Dlaczego więc całość, pomimo takiej postawy artystki, pomimo tych jej świadomych założeń, ma wydźwięk tak beznadziejnie smutny? Oczywiście żadnej głębszej filozofii nie wymaga odpowiedź, że tragiczna rzeczywistość musiała tu znaleźć odbicie. Miała być ta twórczość profilaktyczną samoobroną psychiki przed pustką i szpetotą — stała się niemal wbrew woli artystki dokumentem cierpienia, dokumentem przemawiającym językiem subtelnym, powściągliwym, ale aż nadto zrozumiałym dla ludzi wrażliwych, uważnie patrzących. Zresztą nawet dla najmniej wrażliwych — ale tych, którzy to sami przeżyli. Ów mimowolny tragizm stał się też jednym więcej sprawdzianem wartości tej sztuki.

Proszę spojrzeć na najbarwniejszą, zdawałoby się, najweselszą akwarelę „Helenka". Młoda dziewczyna, z ziemistą twarzą umalowana Bóg wie jak i od kogo wyhandlowaną szminką, starannie uczesana, wystrojona w jaskrawą sukienkę z czerwonym kołnierzykiem — to bez wątpienia jedna z lagrowych elegantek, wyżywająca się w spontanicznej żałosnej kokieterii. A przy tym wszystkim w oczach zastygł wyraz, który każe myśleć, że wiele wiele razy otwierały się one szeroko ze zgrozy i przerażenia. Usta zacisnęły się mocno nadając twarzy wyraz goryczy i przedwczesnej starości. Mamy przed sobą jeszcze bodaj najestetyczniejszą z modelek — większość to szpetne stwory o wyostrzonych głodem, zdeformowanych męką rysach, z włosami ostrzyżonymi lub zwisającymi w sztywnych kosmykach, o pokracznych ruchach udręczonych zwierząt. Nie ma w tym żadnej deformacji — tak właśnie wyglądały w lagrze kobiety, zmuszone do rozpaczliwej biologicznej walki o życie. Artystka stara się tylko wiernie odtworzyć rzeczywistość.

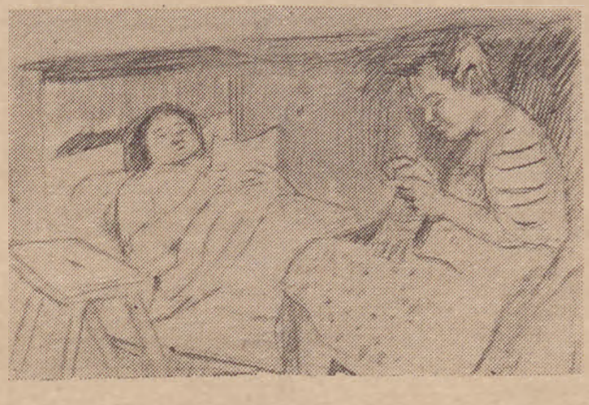

J. SIMON-PIETKIEWICZOWA W BARAKU (RYSUNEK)

Około 150 zgromadzonych na wystawie prac daje doskonały przegląd „obozowego" dorobku Simon-Pietkiewiczowej. Jeżeli chodzi o jego wartości formalne, od czego może należałoby zacząć, (tym razem nie mam jednak wyrzutów sumienia) trzeba stwierdzić: artystka doskonale rysuje, umiejętnie posługuje się akwarelą.

Rysunki (ołówkiem lub niebieską kredką) rozmaity mają charakter. Znajdujemy tu szkice, w których najogólniejszym konturem zaznacza artystka zasadniczy kształt — właśnie one wykazują najdobitniej umiejętność syntetyzowania formy przedmiotu, najbardziej lapidarnej jego charakterystyki. W rysunkach bardziej opracowanych — o starannie zachowanej hierarchii form ogólnych i szczegółów, zjawia się delikatny światłocień określający bryłę, zawsze jednak — zarówno jak w akwarelach — stwarzający walor łagodny, mało skontrastowany. Partie ciemniejsze uzyskuje artystka najczęściej systemem wyraźnych kresek idących za kształtem przedmiotu, rzadziej ołówek lub kreska są roztarte. Koncepcja rysunku zawsze jasna, kształt przedmiotu — choć konturów artystka raczej unika — określony zdecydowanie, czasem dobitnie a nawet jaskrawo, co obserwujemy w charakterystyce wielu głów i sylwetek. Deformacja i karykatura jest tu, jak wspomniałam wyżej, raczej pozorem.

Akwarele malowane lekko, wystarczająco „mokre", utrzymane są w tonie mieniących się szarości, nieuniknionych i nieodzownych w ramach obranej (a raczej narzuconej) tematyki. Niektóre akwarele są monochromiczne. Plama barwna nie trzyma się granic przedmiotu, często wykracza poza nie, spajając go z otoczeniem w sposób zupełnie przekonywujący.

Na wystawie umieszczono również trzy obrazy olejne na tekturze, prawdopodobnie malowane później według szkiców. Najlepszy obraz: „Ukrainki przy taczkach" odznacza się dobrym rytmem linii i płaszczyzn i ciekawa barwna strukturą całości. W obrazie „Noszenie kamieni" konsekwentnie gdzieindziej przeprowadzona płaszczyznowość zostaje w sposób zupełnie nieumotywowany przełamana bryłowatością głowy jednej postaci.

W sumie piękny dorobek z owych „czasów pogardy". Miejmy nadzieję, że okres bardziej pomyślny znajdzie w twórczości artystki odrębny wyraz, — inny, ale nie mniej wartościowy.

Alina Chyczewska.

*) Przegląd Artyst. I., 7. tłum.

W TEATRACH WYBRZEŻA

„ŻEGLARZ" SZANIAWSKIEGO

„*Żeglarz*", jak wszystkie sztuki Szaniawskiego, niewiele ma wspólnego z pełnym realizmem. Nieuchwytna mgła, nastrój odległego wspomnienia zalega pół-rzeczywistość sceniczną „*Żeglarza*". Sceny z realnego społecznego życia ukazują się w jakimś ironicznym wykrzywieniu, nadając tym więcej powagi prawdzie Legendy. Dyr. Iwo Gall nie próbował w swej inscenizacji gdyńskiej (trzecia premiera w teatrze „*Wybrzeże*") podciągnąć „*Żeglarza*" do pełnego, *przyzwoitego* realizmu. Nie ukazał go tym bardziej jedynie jako satyry na bronzowników. Zastosował swą ulubioną dwoistość reżyserskiego ujęcia: Zabarwił zdecydowaną groteską scenki i postacie *rzeczywistego*, publicznego życia. I wydobył z kameralnych scen dramatyczny nastrój, powagę, a w końcu, w ostatecznym geście, godzącym moment społeczny z jednostkowym i subiektywnym, — całą wzniosłość.

Tytułowa rola w wykonaniu Ludwika Benoit była pełna cichej, skupionej wymowy i niefałszowanego nastroju, głęboki timbre głosu wspaniale tu pobrzmiewał *Legendą*. Z pozostałych ról groteskowe sylwetki starszych panów wypadły lepiej od młodego tria z początku sztuki. Maciej Maciejewski był bardzo sugestywny w epizodycznej roli Marynarza. Rewelacją premiery gdyńskiej stała się oprawa sceniczna nadana sztuce Szaniawskiego przez Iwo Galla. Dekoracje, nacechowane rozmachem, idealnie wprost zrównoważone kompozycyjnie, pełne światła i powietrzności, operowały śmiało motywami żeglarskimi, wydobywając z nich maximum aluzji do treści myślowej i symboliki tej niezwykłej komedii.

LUDZIE SĄ TYLKO LUDŹMI...

Dużym sukcesem stała się dalsza premiera u Galla: „*Ludzie są ludźmi*" Adama Grzymały-Siedleckiego. Szkoda doprawdy, że czcigodny Jubilat nie mógł osobiście wziąć udziału w gdyńskiej premierze swej nowej*) sztuki. Reżyseria Iwo Galla i bardzo wyrównana i dobra gra aktorska pozwoliły ukazać cały myślowy i humanistyczny sens tej sztuki.

„*Ludzie są ludźmi*" mają chwilami komediowe, ba, farsowe niemal zacięcie. Lecz mimo to, czy może w tym właśnie, kryją duży myślowy ładunek. Bo Siedlecki ukazuje figurki swej komedii, tych *ludzi, będących tylko ludźmi* — w pogoni za rzeczą niemożliwą... za szczęściem. W zmiennym falowaniu nastrojów, w przypływach i odpływach radości i smutków jakże są pocieszni ci ludzie, miotani niczym liście na wietrze — przez los. Ale *figurki* te skłaniają do myślenia, nieznacznie budzą refleksję nad sensem tej gonitwy.

Siedlecki nie usiłuje dawać jakichś ostatecznych, metafizycznych rozwiązań. Pozostaje w sferze czysto praktycznej, nawskroś życiowej zadumy. I głosi filozofię niezbyt odległą od mądrej stoickiej rezygnacji. Nie musimy być szczęśliwi — stwierdza. Praca może być również wypełnieniem życia. Z witalistycznej ufności i optymistycznego eudajmonizmu, jakie zdawały się nierzadko przejawiać w twórczości Siedleckiego przechodzi ten pisarz na pozycję pewnego świadomego minimalizmu: Bezpieczniej dla człowieka pojąć swe życie jako sferę obowiązku, pracy, twórczości. Marzenia o innym szczęściu są złudne. Urzeczywistnić wlane w nas zdolności — oto i cały prosty sens życia. Wypłacić się z długu, skwitować rachunek życiu — nic więcej! Bogata, miejscami aż zbyt bogata w fakturze komedia Siedleckiego przemawia do widza swą dojrzałą życiową mądrością. I szczerze wzrusza.

Widowisku nadał Iwo Gall tempo progresywnie wzrastające. Pierwszy akt mógł jeszcze sprawiać wrażenie, że reżyser poważnie bierze osoby sztuki i ich perypetie. Już drugi przyspieszył komediowy rytm ufności i rozpaczy, trzeci natomiast zmienił się w szaloną farsę, uwieńczoną groteskową sceną z przedślubnym corso kwiatowym. Dopiero końcowa nauczka losu rozbraja farsowość i dopełnia intencji myślowej sztuki. Być może, że dalsze skróty i od początku żywsze tempo uczyniłoby sukces reżysera jeszcze świetniejszym.

Przepyszną *parę małżeńską* stanowili Halina Gallowa i Włodzimierz Kwaskowski. Pierwsza odtworzyła pełną naturalności — nawet w całej swej pretensji — snobistyczną mieszczankę, drugi zaś ukazał arcykomiczny typ męża — niepoprawnego entuzjasty życia. Obie kreacje bogate były w odcienie, optymizm i na zmianę stany depresji modulowały je najnieoczekiwaniej. *Konstancję* grała w Gdyni z temperamentem Ewa Krasiejko oscylując cały czas znakomicie i w pełni „kobieco" między skrajnymi nastrojami, wyznaczonymi przez tę popisową, ale i niezwykle ryzykowną rolę. *Szylonga* grał niezawodnie L. Benoit. Z pary młodych nieco może za grzeczny był A. Kobyliński, a bardzo eteryczna A. Jarecka mogła śmiało mieć więcej witalnego elementu w swej grze. J. Szpunar stworzył interesujące wcielenie autentycznego *enfant terrible*.

Dekoracja jak zawsze w tym teatrze, bardzo staranna.

Po nowej sztuce Grzymały-Siedleckiego wejdzie na afisz teatru Iwo Galla z początkiem maja — jako największe wydarzenie teatralne tego sezonu — sztuka na konkurs szekspirowski — „*Jak się wam podoba*".

ZMIANY U MARYNARZY

Poważną stratę poniósł Teatr Marynarki, kiedy wraz z subwencją ze strony Wojska utracił swego dotychczasowego kierownika artystycznego w osobie Jerzego Merunowicza. Jest ironią na miarę Gdyni, że ten inteligentny i ambitny reżyser przygotował jako ostatnie przedstawienie na Wybrzeżu — „*Rozkoszną dziewczynę*". Przygotował zresztą starannie i jak można było przy tym zespole (zwłaszcza przy tych głosach) najlepiej.

Już „*Męża i żonę*" Fredry reżyserowała Wanda Jarszewska, z umiarem i poprawnie na ogół, ale i bez bardziej odrębnego wyrazu. W wykonaniu o wiele lepiej wypadły obie role kobiece. Jako żona wystąpiła po raz pierwszy w sztuce kostiumowej i wierszem — Kira Pepłowska. Debiut bardzo zachęcający. Pepłowska umiała wnieść sporo życia w swą niewdzięczną, dość papierową, werbalną albo zgoła milczącą rolę. Odwrotnie, wdzięczną rolę miała i dobrze, z dużym wdziękiem, choć może zbyt naiwnie odegrała ją Wanda Bartówna jako Justysia.

Wiersz mówiono na ogół słabo. Kostiumy były przyjemne, dekoracja bardzo nieokazała — w tej sztuce to źle!

Wyzwolony spod protektoratu Marynarki Wojennej i przekształcony *na spółdzielczo* „Teatr Aktorów", zespół pod dyr. Al. Gąssowskiego, porwał się na znaną komedię francuską „*Madame Sans Gene*". Krok to rzeczywiście śmiały. Obraz historyczny Sardou wymaga świetnej oprawy scenicznej, dobrej reżyserii oraz poza Księżną Gdańską, była praczką... Napoleona i Fouché'go. Siła złego na jednego!

Aktorzy dali ze siebie maximum. Całkiem przyjemne były kostiumy oraz dekoracje Adama Haupta. Reżyseria Wacława Zastrzeżyńskiego w sposób bardziej widoczny zaniedbała jedynie prolog, niedostatecznie wypracowany. Rolę tytułową z temperamentem i zupełnie szczęśliwie odtworzyła Danuta Wiłowicz. H. Hałacińska jako *Królowa Karolina* i J. Bukowski jako *maitre tańca* stworzyli bardzo stylowe sylwetki. *Napoleon* w wyk. T. Gwiazdowskiego i *Fouché* (R. Szerzeniewski) wypadli może nieco ubogo i schematycznie, ale nawet oni nie razili. I reszta zespołu, niezawsze jeszcze równa, dzielnie mimo to współdziałała w tej komedii. Pochodzi ona sprzed pół wieku, ale odnosi się do epoki napoleońskiej, ujawnia wielorakie jej zbieżności z naszą, co zaś ciekawsze, zawiera niejeden moment wychowawczy równie aktualny w dzisiejszej jak i w tamtej demokracji autorytatywnej.

Inną poza reżyserem Merunowiczem stratę b. Teatru Marynarki stanowi fakt opuszczenia Wybrzeża przez zdolną i bardzo poważnie nastawioną do sprawy sztuki tancerkę Welę Lam. Przez pół roku szkoliła W. Lam przy Teatrze Marynarki całkiem dobrze zapowiadający się zespół baletowy. Ostatni, pożegnalny występ tancerki i zespołu (z współudziałem pianisty prof. St. Staniewicza) kazał szczerze żałować, że ten na Wybrzeżu powstały skromny zawiązek baletu przepada dla artystycznego rozwoju tego terenu.

Andrzej Odnowa.

*) Prapremiera odbyła się w lutym 1946 r. w Teatrze Polskim w Bydgoszczy z okazji jubileuszu 50-lecia twórczości autora.

KONKURS LITERACKI „ARKONY"

PRÓBA ORIENTACJI W BUDOWIE WIERSZA POLSKIEGO

I. Co do utworu J. IWASZKIEWICZA „*Noc w polu*"

Jadą, jadą. Konie łupocą. Nocą jadą
Bliżej, dalej. Jaśni panowie. Chłopi
[drogą.
Gdzie że wezmą moją niebogę, gdzie
[schowają?
Jarem jadą. Białym gościńcem. Czarną
[rolą.
Wołam, wołam. Oni wołają. Nic nie
[słychać.
Konie wrone, konie, koniki! Nie chcą
[prychać!
Wozy stare. Osie lipowe. Ach, mój Boże!
Któż was teraz, moi panowie, zgonić
[może?

1. Jaki podział na cząstki wierszy tego utworu podpowiadają jego właściwości składniowo-logiczne, przestankowanie autora i wymuszone przez te czynniki frazowanie?

2. Czy cząstki te okazują regularność pod względem ilości sylab i rozstawienia akcentów wyrazowych?

3. Wobec tego jak należy określić ten wiersz w terminach, przyjętych w wersyfikacji, lub przedstawić jego schemat umownymi znakami graficznymi.

4. Czy stylizacja tego utworu nie podpowiada poszukiwania analogii i w zakresie wersyfikacji i jakich mianowicie?

II. Co do utworu M. PAWLIKOWSKIEJ „*Do śniegu*"

Śniegu,
Baranku Boży!
Gładzisz grzechy świata
I białemi lokami brzydotę rozmiatasz...
Wkoło igra iskrami pogoda szczęśliwa,
A ty klęczysz —
I śmietnik
Piersiami zakrywasz.

1. Jak można określić, pominąwszy ujęte w formę graficzną intencje stylizacyjne i wskazówki recytacyjne autorki — wiersz, czyli budowę metryczną utworu?

2. Jaka intencja stylizacyjna czy artystyczna wogóle przewodziła autorce w graficznym przedstawieniu utworu?

Termin nadsyłania odpowiedzi (*w zamkniętych, podwójnych kopertach: odpowiedź podpisana hasłem, nazwisko i adres odpowiadającego w wewnętrznej kopercie*) — upływa z dniem 10 lipca br. Wynik konkursu zostanie ogłoszony w numerze sierpniowym.

Na nagrody za dziesięć najlepszych odpowiedzi redakcja ARKONY przeznacza szereg cennych książek, których wyszczególnienie znajdą Czytelnicy w najbliższym numerze pisma.

Udział w *sądzie konkursowym* przyobiecali wziąć: Prof. dr EUGENIUSZ KUCHARSKI (Toruń), prof. dr KONRAD GORSKI (Toruń) i mgr CZESŁAW ZGORZELSKI (Toruń). Z ramienia redakcji ARKONY w skład sądu wchodzi mgr ALFRED KOWALKOWSKI (Bydgoszcz).

BYDGOSZCZ

Ze sceny

Olbrzymim powodzeniem cieszyły się gościnne występy Ireny Górskiej i Dobiesława Damięckiego w „Uczniu diabła" Bernarda Shaw'a.

Akcja sztuki, osnuta na tle walki wolnościowej Amerykanów, pragnących zrzucić jarzmo brytyjskiej metropolii (rok 1777), żłobi łożysko ideologiczne w utworze, którym przepływa nurt politycznej myśli. Powierzchownie zarysowane, wątłe tło historyczne daje wszakże „irlandzkiemu kpiarzowi" sposobność i pretekst do jadowitej inwektywy na brytyjskie siły zbrojne, pozwala mu uderzyć ciętą satyrą w majestat angielskiego imperializmu oraz w zachłanną i egoistyczną politykę kolonialną.

„Uczeń diabła" — to Ryszard Dudgeon, przypominający swym demonizmem niektóre postaci Walter Scotta, Byrona i mający w sobie coś z balzakowskiego Vautrin'a. Trzeźwa i bezkompromisowa postawa Ryszarda, jego szczerość i rubaszna prostota stanowią jaskrawy kontrast, mający uwypuklić nie tylko korupcję i niedołęstwo brytyjskich sił zbrojnych, ale także dwulicową i fałszywą moralność amerykańskich purytanów, pogrążonych w wulgarnym materializmie i chłodnej hipokryzji. Krzysztof Dudgeon — psychologiczny dziwoląg i bezradny głuptas, wychowany w „bogobojnej" atmosferze rodzinnego domu — oto żałosny rezultat ciasnych i jednostronnych poglądów i metod pedagogicznych amerykańskich bigotów.

Realizacja sceniczna Dobiesława Damięckiego według inscenizacji T. W. P. (w Łodzi) świadczyła o głębokiej i poważnej analizie utworu. Reżyser wniknął w najsubtelniejsze intencje powikłanej problematyki i podkreślił należycie jej aktualny sens. Koncepcja głównej postaci Ryszarda Dudgeon, zwłaszcza w I akcie, w interpretacji Damięckiego może stwarzać pretekst do dyskusji ze względu na zbyt jaskrawą i ekscentryczną realizację. Poza tym Damięcki imponował swobodą i niezawodną techniką aktorskiego rzemiosła. Pełną wdzięku i kobiecego uroku postać stworzyła Irena Górska, która w roli pastorowej Anderson pokazała prawdziwy i szczery talent dramatyczny. Nie zawiódł również i zespół bydgoski (Krzywicka, Wielicz, Barczewska, Konieczka).

Premiera „Ż a b u s i" w Teatrze Polskim w Bydgoszczy ze względu na 25-tą rocznicę śmierci Gabrieli Zapolskiej nosiła charakter szczególnie uroczysty. Widowisko poprzedziły referaty Adama Grzymały-Siedleckiego, Dobiesława Damięckiego i Bolesława Rosiana, który odczytał uwagi Ludwika Solskiego o talencie aktorskim autorki „Żabusi".

Wrażliwy zmysł obserwacyjny Zapolskiej pozwolił jej demaskować fałszywe oblicze mieszczańskiej rodziny, frazeologiczny sens małżeńskiej miłości i płytkość intelektualną środowiska, które w pogoni za urozmaiceniem życia deptało wszystkie uczucia i kanony etyczne, kształtując swą własną dwulicową moralność. Chociaż autorka „Żabusi" w swej pasji demonstrowania zakłamanych stron mieszczańskiego życia była niezwykle energiczna i bezwzględna, to jednak nie wyszła poza formalne zaprzeczenie i szorstkie moralizatorstwo. Pozostała zawsze apostołem słusznej moralności wśród klasy, której egzystencji i przodującego stanowiska w hierarchii społecznej nigdy nie kwestionowała.

Satyryczny obraz mieszczańskiej rodziny w inscenizacji scenicznej D. Damięckiego uległ paradoksalnemu odwróceniu. Reżyser ze zbytnią sympatią potraktował postać przewrotnej *Żabusi*, dając jej w całości karykaturalne otoczenie. W interpretacji reżysera *Julian* — kochanek *Żabusi* i narzeczony *Marii* — wbrew wypowiedziom tekstu i postulatom ideologicznym sztuki stał się typem ograniczonego niedojdy i dziwaka. Januszkiewicz, grający tę rolę w stylu groteski, nie przewidział widocznie konsekwencji. Groteskowy *Julian* — to satyra, wymierzona wbrew intencji autorki w kierunku *Marii*, pozytywnej postaci w utworze i jednej z najpiękniejszych, jakie stworzyła Zapolska.

Tymczasem przystojna, poważna, wzniosła i szlachetna *Maria* stała się na scenie suchą, rygorystyczną moralistką z przykrym, zgryźliwym akcentem staropanieńskiego dewociarstwa i złośliwości. Przyczyniła się do tego w dużej mierze fałszywa charakteryzacja postaci, jej strój, które z góry rozstrzygały o negatywnym stosunku widowni i prawem kontrastu wysubtelniały *Żabusię* i ją czyniły przedmiotem ogólnej sympatii, niewcząc moralny sens sztuki.

Pracowita i skupiona gra Masłowskiej *(Maria)* służyła niewłaściwym celom i wyginała ostrze satyry Zapolskiej wbrew jej najszczerszym zamiarom w kierunku staropanieńskiego świętoszkostwa.

Natomiast Irena Górska *(Żabusia)* i Mieczysław Wielicz *(Bartnicki)* grali swe role świetnie. Irena Górska zdumiewała drobiazgową plastyką i wrażliwą a niezwykle przekonywującą modulacją głosu. Praca aktorska Górskiej i Wielicza stanowiły satysfakcję dla widza rozczarowanego i zdezorientowanego moralnym sensem utworu. Uszczypliwą satyrę, wymierzoną w zakłamanie i obłudę mieszczańskiej rodziny, wystraszyło obce i sztucznie wyciosane monstrum zdziwaczałego *Juliana* i bezdusznej, rygorystycznej *Marii*. Publiczność opuszczała teatr, pełna uwielbienia dla niesłusznie napastowanej *Żabusi*. W pozostałych rolach dobrze wypadli Morozowiczowa, Stróżyńska i Jaroszyński.

Teatr Polski wystawił również sztukę Józefa Mayena „C i c o w r ó c i l i". Autor najprawdopodobniej miał zamiar przedstawić na tle nieubłaganych konsekwencji wojennych i okupacyjnych dramat rodzinny, polegający na konflikcie między naturalnym prawem ojcowskim *(Kazimierz)* a moralną potęgą miłości dziecka do domniemanego ojca *(Jakub)*. Drugim wątkiem dramatycznym miał być obcość świata amerykańskiego *(Kazimierz wraca z Ameryki)* w stosunku do naszej koszmarnej, wojennej rzeczywistości. Ta podstawowa myśl utworu rozprasza się jednak wśród nieuzasadnionych i dwuznacznych fragmentów akcji, tworząc prawdziwy splot rodzinnych nieporozumień, nerwowych przeczuleń i reakcji. Utwór Mayena w naszym powojennym dramatopisarstwie nie stanowi pozycji wyjątkowej. Jest to jedna z tych „niedorosłych" prób literackich, która, by stać się dojrzałą do sceny, wymaga zasadniczej rekonstrukcji, przede wszystkim skrócenia przewlekłej ekspozycji i rozbudowania akcji. Sztukę wyreżyserował Stanisław Dębicz. W rolach głównych wystąpili: Maria Stróżyńska, Jadwiga Okońska, Stefan Strzałkowski i Stanisław Dębicz.

Aleksander Dzienisiuk.

„LUDZIE SĄ LUDŹMI" A. GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO W TEATRZE „WYBRZEŻE" W GDYNI

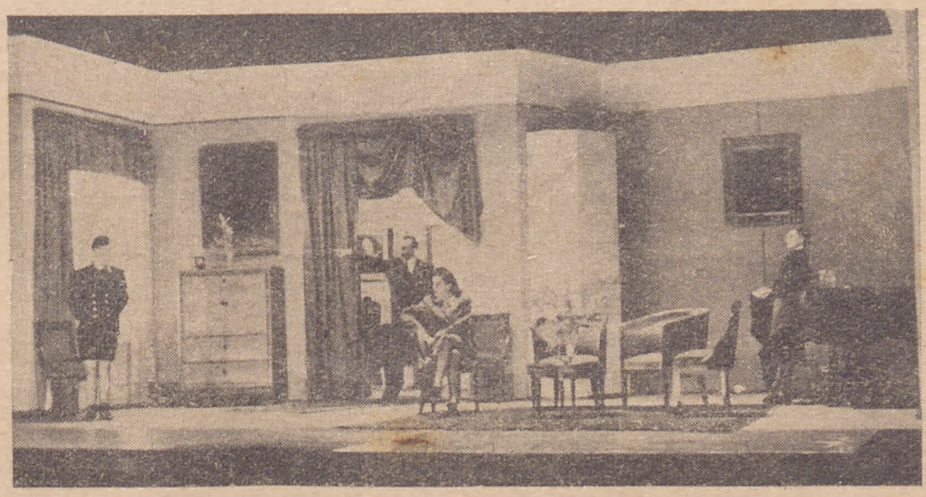

Komedia Adama Grzymały-Siedleckiego wystawiona po „Homerze i Orchidei" i „Żeglarzu" spotkała się z nadzwyczaj przychylnym przyjęciem. Sztukę reżyserował dyr. Iwo Gall.

Kroniczka koncertowa

20. III. odbył się recital śpiewaczy *Ireny Lewińskiej*, laureatki genewskiej. Bezsprzeczna kultura śpiewacza, miły, ciepły, aksamitny sopran podobał się ogólnie. Szkoda, że program ułożony został nieco za jednostajnie w nastroju wskutek czego ażkolwiek przeżyliśmy sporą porcję najpierwszych wzruszeń artystycznych — to jednak nie poznaliśmy wszystkich możliwości odtwórczych artystki. Bardzo pięknie wypadły pieśni Brahmsa, Szymanowskiego, jak też grupa francuzów. Lewińska świetnie czuje styl wykonywanych utworów. Akompaniował subtelnie i wrażliwie E. Rezler.

25. III. słyszeliśmy *Łagunównę, Dzięgielewskiego i Kardasia* w lżejszym programie. Świetny był duet fortepianowy Dzięgielewskiego i Kardasia. Dzięgielewski ponadto jeszcze raz udowodnił, że jest dobrym akompaniatorem. Jego żarty muzyczne, podpatrujące style różnych kompozytorów są majstersztykiem swego ro-

27. III. odbył się *wielki koncert symfoniczny* (XI.) pod dyr. *Zdz. Górzyńskiego* z udziałem pianisty *Wł. Kędry*. Koncert poświęcony był twórczości Piotra Czajkowskiego. Słyszeliśmy poloneza z op. „Eugeniusz Onegin", koncert fortepianowy b-moll i VI Symfonię t. w. „Patetyczną". Zdzisław Górzyński jest wspaniałym, sugestywnym dyrygentem, umiejącym wydobyć z orkiestry maksimum możliwości. Rozumiemy jego wielkie sukcesy zagranicą, szczeg. w Szwajcarii i Czechach. Jest on też jednym z najlepszych polskich dyrygentów. Władysław Kędra oczarował słuchaczy wspaniałym odegraniem koncertu. Jest to doskonały pianista o świetnej technice palcowej, oktawowej i akordowej. Męskie uderzenie idzie w parze z subtelnością interpretacyjną. Naddatki lśniły brawurą, a zarazem i głębią uczucia. Orkiestra grała doskonale.

30. III. odbył się *wieczór muzyki hiszpańskiej* w wykonaniu *Władysława Kędry*. Wszyscy ci, których porwał wspaniałym odegraniem koncertu Czajkowskiego stawili się tłumnie na jego koncert. I nie zawiedli się. Kędra potwierdził i ugruntował doskonałą opinię o sobie. Podziwiam wytrzymałość fizyczną i pamięć artysty. Można mu wróżyć wielką karierę pianistyczną.

1. IV. z inicjatywy orkiestry symfonicznej powtórzony został koncert z dn. 27. III. z Górzyńskim i Kędrą *na rzecz powodzian*. Obaj artyści, jak też Pomorska Orkiestra Symfoniczna, grali zupełnie bezinteresownie i przekazali znaczną sumę na powodzian na ręce ob. Wojewody Pomorskiego.

13. IV. wystąpiła z recitalem śpiewaczym *Helena Korff-Kawecka*, artystka opery poznańskiej, władająca bardzo miłym głosem, nieprzeciętną kulturą śpiewaczą i doskonałą aparycją. I cz. koncertu obejmująca muzykę operową znacznie bardziej podobała się od drugiej — lżejszej. Akompaniament fortepianowy zostawiał dużo do życzenia. Milutka Terenia nie powinna narazie występować razem z mamą.

17. IV. odbył się *XII Koncert Symfoniczny* pod dyr. *Arnolda Rezlera*, z udziałem znakomitej skrzypaczki *Ireny Dubiskiej*. Program obejmował uwerturę Egmont Beethovena, koncert skrzypcowy tegoż genialnego kompozytora, oraz symfonię szkocką Mendelssohna. Orkiestra, która niezbyt nas przekonała w Egmoncie brzmiała doskonale w akompaniamencie koncertowym i w symfonii, nie przedstawiającej zresztą specjalnej muzycznej atrakcji.

Irena Dubiska odegrała ze smakiem i jak zawsze bardzo pięknie koncert Beethovena. Entuzjastycznie przyjmowana przez słuchaczy naddała szereg utworów solowych przy niezawodnym akompaniamencie Tadeusza Kurczewskiego.

J. J.

TORUŃ

Sezon literacki

Równocześnie z rokiem akademickim 1946-47 rozpoczął się w Toruniu sezon odczytowy, opierający się w głównej mierze na organizowanych przez oddział toruński ZZLP *„Czwartkach literackich"*. Dnia 10 kwietnia br., przypadający na ten dzień „czwartek", nosił kolejną cyfrę 52-go wieczoru.

Przeszło 50 „czwartków" — to już bardzo poważny dorobek kulturalny Torunia. Starannie układany program, różnorodne tematy, zajmujące ich ujęcie, wreszcie aktualność poruszanych zagadnień — wszystko to przyczynia się do szczerego zainteresowania się publiczności życiem literackim, do pogłębienia nieodzownego kontaktu ludzi pióra ze społeczeństwem.

Może warto zwrócić nieco uwagi na osiągnięcia literackie bieżącego sezonu „czwartków" od strony statystycznej: Z 22 wieczorów tego okresu 14 wypełniły prelekcje literatów i uczonych toruńskich, 8 razy gościł Toruń prelegentów z poza Torunia: Z Warszawy przyjechał Michał Rusinek i Aleks. Rymkiewicz; z Poznania prof. prof.: Zygm. Szweykowski, Roman Pollak, Czesław Znamierowski i Wacław Kubacki; ze Śląska: Wilhelm Szewczyk i Wojciech Żukrowski; z Tucholi wreszcie: W. Achrem-Achremowiczowa. Tylko trzy „czwartki" były „wieczorami autorskimi". Dwa poświęcono zagadnieniom pozaliterackim (dr J. P. Pawłowska o Grottgerze i prof. dr Cz. Znamierowski o pokoju), jeden „wieczór" — sprawom językoznawczym (prof. dr Stefan Hrabec). Zdecydowana większość — bo 16 — nosiła charakter krytyczno-literacki. Prelegentami byli przede wszystkim profesorowie UMK (dr Konrad Górski, dr Stefan Srebrny, dr Henryk Elzenberg, dr Tad. Makowiecki, dr K. W. Zawodziński), profesorowie U. Pozn. (wymienieni wyżej), ponadto Wanda Dobaczewska, dyr. Wilam Horzyca, Józef Maśliński i dr Irena Sławińska. Ponieważ pewna ilość prelekcji odbyła się również w Bydgoszczy — w wyniku stałej współpracy kulturalnej obu miast (i z tego powodu referowaną była na innym miejscu) — parę uwag poniższych tyczyć będzie pozostałych wieczorów, znanych wyłącznie Toruniowi.

Ciekawa, *par excellence* naukowa prelekcja prof. dra H. Elzenberga *o Gustawie Flaubercie i estetyzmie pesymistycznym* (dn. 7. 11. 46) stanowiła wzór sięgającej do najgłębszych tajników twórczości wnikliwej analizy literackiej. Jakkolwiek da się ostatnio zaobserwować pewnego rodzaju ucieczkę słuchaczy czy widzów od tzw. tematów wojennych, interesująco pomyślany wieczór poświęcony *poezji obozowej*, jaki dała (19. 12.) Wanda Dobaczewska, potrafił zainteresować i wzruszyć. Czwartkiem nieliterackim był odczyt znakomitego socjologa, prof. Cz. Znamierowskiego, zatytułowany: *„Technika pokoju a nauki społeczne"* (6. 2.). Było to głębokie, naukowe wniknięcie w istotę pokoju, o który walczyć i do którego dążyć winna cała ludzkość. Dnia 6. 3. prof. dr Stefan Hrabec mówił w ramach czwartku o charakterze językoznawczym — o etymologii imion, zapoznając przy tym słuchaczy z dawnym wróżebnym ich charakterem i zawartym w nich ładunkiem mistycznym.

Może największe zainteresowanie wzbudził wieczór dnia 27. 2., *poświęcony twórczości Chestertona*. Stanowił on nie pierwszą próbę („czwartek" poświęcony „Orfeuszowi") nawiązania jak najściślejszego kontaktu z Teatrem Ziemi Pomorskiej. Wieczór wypełniły 3 zajmujące odczyty: Dyr. Horzyca odczytał fragm. ze swej pracy o Chestertonie, omawiający w ogólnym zarysie sylwetkę duchową angielskiego pisarza. Prof. Konrad Górski omówił działalność literacką Chestertona, ze specjalnym zwróceniem uwagi na ewolucję duchową pisarza, która go doprowadziła do katolicyzmu. Prelekcja dr I. Sławińskiej dotyczyła wyłącznie dramatu „Magia", wystawionego właśnie przez Tetr Ziemi Pomorskiej.

Tzw. „ucztą duchową" trzebaby nazwać „czwartek" dnia 10. 4. Prof. dr Stefan Srebrny poddał wnikliwej i subtelnej analizie *stosunek Wyspiańskiego do Antyku*, omawiając dwa z jego dzieł: Achilles i Powrót Odysa. *J. C.*

Życie muzyczne

W ostatnim czasie (luty, marzec oraz z kwietnia Wielki Tydzień) jedynie w marcu mieliśmy w Toruniu nieco bardziej ożywiony ruch koncertowy. Luty był kompletnie jałowy. Zapowiedziany III koncert symfoniczny Orkiestry Bydgoskiej został w ostatniej chwili tylko skromną notatką gazetową odwołany, podczas gdy afisze wisiały do czasu zapowiedzianego koncertu bez zmian w napisach. Tego rodzaju wprowadzenia w błąd naszej i tak już trudnej do skaptowania toruńskiej publiczności koncertowej organizatorzy koncertów w przyszłości powinni unikać!

Dnia 1 marca odbył się w auli Gimn. Kopernika recital śpiewaczy W i k t o r a B r é g y. W programie Mozart, Schubert, pieśni włoskie oraz polskie od Moniuszki do Szymanowskiego. Jednakże ani doborowy program ani rozgłos artysty znanego choćby już z dość częstych audycyj radiowych nie potrafiły po pięciotygodniowej przerwie w naszym ruchu koncertowym zgromadzić nawet tylu słuchaczy, by wypełnili choć połowę tej niewielkiej sali. Smutne to i znamienne dla naszego życia muzycznego! Wpłynęło to widocznie i na artystę, który przedstawił się sam mniej rewelacyjnie, niż się spodziewaliśmy, zarówno pod względem jakości głosu, jego rozpiętości, siły, barwy, jako też wykonania programu.

Dnia 16. i 17. III. mieliśmy dwa „koncerty" muzyki lekkiej. W niedzielę popołudniu śpiewała w Teatrze Ziemi Pomorskiej B a r b a r a H a l m i r s k a, artystka, która okres kulminacyjny swojej działalności artystycznej ma już daleko poza sobą i obecnie chyba dla wspomnień na estradzie występuje. Poziom imprezy niski. Publiczności względnie dużo.

Nazajutrz wieczorem odbył się również w Teatrze występ czwórki śpiewaczej J u r a n d a przy współudziale Hal. Wiórkowskiej (harmonia). Poziom tej imprezy przeciętny. Publiczność, która, jak zwykle u nas na tego rodzaju imprezy o wątpliwym lub nikłym znaczeniu artystycznym przybyła tłumnie, bawiła się widocznie.

23. III. odbył się w auli Gimn. Kopernika recital śpiewaczy I r e n y L e w i ń s k i e j. Program bogaty i ciekawy, a samo nazwisko artystki, laureatki konkursu międzynarodowego, powinno było ściągnąć do owej szczupłej sali koncertowej tłumy, które by się w tym lokalu nie zmieściły. Niestety, frekwencja publiczności była wprost skandalicznie mała! Dziwne nawet, że artystka zgodziła się śpiewać wobec tak nielicznego audytorium. Może afront, wyrządzony Toruniowi przez odwołanie w ostatniej chwili koncertu byłby nieco poruszył opinię naszej tkwiącej w głębokim a niezrozumiałym letargu artystycznym publiczności. O samych walorach śpiewaczych Lewińskiej dość trudno powiedzieć coś konkretniejszego. Artystka pokazała nam głos nieduży, lecz miły, choć o niezbyt wielkiej skali ekspresyjnej. Najlepsza jest średnica głosu, przejście, szczególnie do rejonów wyższych, często zbyt podpadające. Interpretacja pieśni była trochę blada, jednostajna. Brakowało u artystki bezpośredniego przeżywania dramatycznego. Najlepiej wypadły utwory młodo-Francuzów (Debussy'ego oraz jego prekursorów — Franck'a Chausson'a, Dupare'a). Ta impresjonistyczna muzyka zapewne najlepiej odpowiada naturze artystycznej Lewińskiej. Zdaje się jednak, że to puste audytorium źle wpłynęło na artystkę i nie zachęcało jej do rozwijania pełni swoich możliwości.

Jeśli już piętnujemy inercję muzyczną naszych melomanów, to specjalnie jaskrawo uwidoczniła się ona na „Wielkim Koncercie Symfonicznym", urządzonym przez C. B. K. Zw. Zaw. Muzyków w dniu 31. III. w Teatrze Ziemi Pomorskiej. Wykonawcami byli Pom. Orkiestra Symfoniczna Tow. Muz. w Bydgoszczy pod dyr. Z d z i s ł a w a G ó r z y ń s k i e g o oraz W ł a d. K ę d r a — fortepian. W programie Czajkowski (Symfonia VI, Polonez z Onegin'a oraz koncert fortep. b-moll). Zdawało się, że znane nazwiska dyrygenta oraz solisty i wartościowy program przyciągną przynajmniej tym razem odpowiednią ilość słuchaczy, spragnionych — po długim okresie niesłyszenia muzyki symfonicznej — tej sztuki. Tymczasem ilość słuchaczy i na tym koncercie była zawstydzająco mała, choć reklama tym razem była wyraźnie lepsza. Jest to groźny na przyszłość objaw. Do sprawy tej jeszcze innym razem powrócimy!

Górzyński poprowadził orkiestrę pierwszorzędnie. Mając dużo temperamentu i wyraźny nerw muzyczny, umie on sugestywnie na zespół oddziaływać i go za sobą porywać. Orkiestra bydgoska i tym razem wykazała dawne swe braki, lecz pod batutą wybitnego dyrygenta wywiązała się ze swego zadania dobrze. — Wł. Kędra przedstawił się Toruniowi jako pianista dobry o dużej przyszłości. Techniczne czysty i pewny — rzecz u współczesnych pianistów polskich rzadka — gra nie na efekt, i choć mu niekiedy możnaby zarzucić pewną modną dziś „obiektywność" w interpretacji, jednak stylowość w odczuwaniu intencyj artystycznych kompozytora, zdrowy temperament a przy tym nieczęsto spotykany spokój i równowaga — wynikająca m. in. właśnie z przeświadczenia o dobrym opanowaniu swego metier — wywołać musiały słowa gorącego a szczerego uznania. Kędra widocznie miał wówczas u nas „swój dzień". W każdym razie był to najlepszy pianista, jaki od dwóch lat, czyli po ostatniej wojnie, w Toruniu gościł. Oby jak najprędzej znów do nas zawitał, może z własnym recitalem!

HELENA ROMER-OCHENKOWSKA

Wspomnienie pośmiertne

Dnia 26 marca 1947 roku zmarła w Toruniu Helena Romer-Ochenkowska, publicystka, literatka i działaczka społeczna o wielkich zasługach.

Urodzona w Wilnie, w roku 1875, całe życie spędziła na Ziemiach Wschodnich i z tymi ziemiami przede wszystkim związana jest literacka i społeczna praca całego jej życia. W zachodniej Polsce mniej była znana. W Toruniu znalazła się przypadkowo, gdy zmuszona konsekwencjami wojny opuściła rodzinny kawałek ziemi w święciańskim powiecie.

Wychowana w atmosferze bardzo kulturalnej, średnie wykształcenie odebrała w Krakowie, jedynym miejscu, gdzie szkoła polska odpowiadała swemu zadaniu w owych czasach, w latach osiemdziesiątych. W szereg lat dopiero po ukończeniu szkoły średniej udała się Helena Romer-Ochenkowska na wyższe studia do Paryża i ukończyła w roku 1910 *Ecole des Hautes Etudes Sociales*.

Jej dorobek literacki, związany ściśle tematem i treścią z rodzinnym regionem, w Polsce na ogół mało jest znany, jakkolwiek ostatnią książkę, zbiór nowel zatytułowanych *„Tutejsi"*, wydał *„Rój"*, firma najpopularniejsza przed wojną. Treść utworów Heleny Romer-Ochenkowskiej była może zbyt swoista i dlatego nie mogła zdobyć sobie ogólnopolskiej publiczności. (Wyjątek stanowi dłuższa powieść *„Majaki"*, ale wydana była jeszcze w roku 1906 i dzisiaj trudno jest sądzić o jej ówczesnej poczytności.) Za to *„na rodzinnej Litwie"*, że użyję tu zwrotu powszechnie przyjętego w czasach młodości autorki, jej twórczość była bardzo ceniona. Pogodny humor, trafne podchwytywanie codziennego życia na gorącym uczynku, mocno zarysowane sylwetki ludzkie i wspaniałe odczucie przyrody wynagradzają pewną rozwlekłość, niepotrzebne gubienie się w szczegółach, zbyteczne rozgadywanie się na tematy uboczne.

Ale nawet wśród *„Swoich Ludzi"* (tytuł innego tomu nowel) bardziej słynęła Helena Romer-Ochenkowska jako publicystka, niż jako literatka. Przez długie lata, od roku 1912 mniej więcej, aż do wybuchu drugiej wojny światowej współpracowała Helena Romer-Ochenkowska z szeregiem pism wileńskich i warszawskich, walcząc gorąco i niezmordowanie o ideały demokratyczne i lepszą przyszłość kulturalnego życia polskiego.

Jako działaczka oświatowa odznaczyła się przede wszystkim w ciężkim okresie niewoli przed pierwszą rewolucją rosyjską, gdy praca musiała być tajna i pociągała za sobą niebezpieczeństwo zesłania na Syberię. Wówczas zakładanie szkół, bibliotek i czytelni, organizowanie teatrów amatorskich i chórów pozostawione było całkowicie inicjatywie prywatnej. Helena Romer-Ochenkowska poświęciła tej pracy całą swoją niespożytą energię i duże możliwości pieniężne, jakimi rozporządzała. W Polsce niepodległej pracowała dalej z niemniejszym zapałem, biorąc udział we wszelkich imprezach kulturalnych. Między innymi była współorganizatorką słynnej *Biblioteki imienia Wróblewskich* w Wilnie.

Zmarła po długim i pracowitym życiu, oderwana od umiłowanych warunków pracy i osamotniona. Cześć Jej pamięci!

Wanda Dobaczewska.

W Wielki Czwartek odbył się w Teatrze Koncert Religijny w wykonaniu Orkiestry Kameralnej ZW. Zaw. Muz. w Toruniu pod dyr. prof. Stefana, chóru żeńskiego Instytutu Muzycznego w Toruniu oraz solistów-śpiewaków i instrumentalistów — profesorów wzgl. uczniów tejże uczelni. W programie S. S. Szarzyński: Jesu spes mea — na sopransolo (prof. J. Reissowa), oraz Sonata na 2 skrzypiec i fortepian (prof. Stefan, prof. Morzykowski, prof. Gawrońska-Łukowiczowa) oraz Pergolesego „Stabat Mater" (solistki Ł. Czarkowska, sopran oraz A. Czerniawska, alt). Poziom koncertu był dobry, przygotowany on bowiem został starannie. Oratorium Pergolesego wykonane tu już przed rokiem, wypadło tym razem jeszcze lepiej, szczególnie jeśli chodzi o chór. Ze solistek Czarkowska była stanowczo lepsza od Czerniawskiej, w tym dniu zresztą wyraźnie niedysponowanej. Powodzenie było znaczne a zasłużone. Publiczności niestety nie dużo!

Jeśli mówimy o muzyce religijnej, wspomnieć trzeba o koncercie wokalnym chóru przy bazylice św. Jana w Toruniu (stojącego pod dyr. L. Rutkowskiego) w dniu 23. III. Impreza ta zainaugurowała zapowiedzianą serię koncertów jubileuszowych, urządzonych z okazji 80-lecia istnienia tego chóru. Program wspomnianego koncertu zawierał m. in. utwory Palestrini, Vittorii, oraz kompozycje polskie, szczególnie współczesne.

Leon Witkowski.

Ruch Wydawniczy

W porównaniu z poprzednim okresem sprawozdawczym, ubiegłe miesiące wykazują pewne zmniejszenie się ilościowe pozycji wydawniczych. Nie oznacza to jednak faktycznego osłabienia ruchu wydawniczego w Toruniu: ciężar gatunkowy niektórych nowości równoważy całkowicie ubytek liczbowy.

Dwa nowe tomy z cyklu *Wydawnictw Uniwersytetu Mikołaja Kopernika* (Księgarnia Naukowa F. Szczęsny i Ska) stanowią dorobek literacki ostatniego czasu: Waleriana Preisnera *Pełnia życia i wyraz artystyczny* oraz Konrada Górskiego *Poezja jako wyraz*. Pierwszy tom, zbiór studiów i szkiców literackich z dziedziny romanistyki, wzbogaca naszą literaturę w dziedzinie essay'u rodzaju uprawianego z zamiłowaniem szczególnie we Francji, a u nas, niestety, wciąż jeszcze niedocenionego.

Praca prof. Górskiego*) podtytuł: *Próba teorii poezji)* jest owocem nie tylko ogromnego oczytania i benedyktyńskiej pracowitości autora. Wyrażając subiektywne poglądy autora na istotę poezji, odbiegające nieraz od utartych pojęć i opinii, posiada zarazem wszelkie cechy obiektywizmu, jako busoli orientującej w morzu zmiennych prądów literackich.

Dwie rozprawki Mieczysława Dereżyńskiego, regionalisty kujawskiego, wyszły ostatnio jako druki bibliofilskie wzgl. prywatne. *Nieznane wiersze młodzieńcze Jana Kasprowicza* uprzystępniono poraz pierwszy czytelnikom miesięcznika akademickiego *Alma Mater Thoruniensis*, gdzie się ukazały w n-rze 5-6. Autor opisuje nieznany biografom Kasprowicza pobyt młodego poety w Woli Sosnowej pod Włocławkiem oraz publikuje dwa nieznane dotąd wiersze, napisane tamże w albumie Jadwigi Lniskiej. *Wacław Bęburowski, rzeźbiarz nieznany* (Nakł. Sp. Wyd. *„Głos Demokratyczny"*), przyczynek do dziejów kultury artystycznej na Kujawach, utrwala sympatyczną postać utalentowanego artysty rzeźbiarza, którego losy zagnały do niegdyś pogranicznego Aleksandrowa Kujawskiego.

Jako pierwsze wydawnictwo *Tow. Miłośników Przeszłości i Zabytków Torunia* ukazała się w kwietniu teka graficzna *Toruń*. Ze zgodnej współpracy trzech zapalonych miłośników naszego miasta (prof. Kazimierz Hartleb — *przedmowa*, Stanisław Matysiak — *opowieści z dziejów Torunia*, Bogusław Marschall — *oryginalne drzeworyty i zdobniki*) wyrosła nader estetycznie prezentująca się całość. Toruń zyskał tekę „reprezentacyjną", którą można śmiało pokazać swoim i obcym, na dowód wysokiego poziomu miejscowego drukarstwa (tłoczono w Zakł. Graficznych przy ul. Sobiańskiej, pod dyr. J. Karolczaka). Antykwa polska Adama Półtawskiego stanowi monumentalne tło dla tego pięknego przedsięwzięcia wydawniczego.

Marian Sydow.

*) W najbliższym numerze „Arkony" zostanie omówiona szczegółowo (przyp. redakcji).

U PLASTYKÓW POMORSKICH

Zbiorowy pokaz prac plastyków pomorskich, który gościł niedawno na Zamku Olsztyńskim przewieziony został do Grudziądza, gdzie stanowi *pierwszą po wojnie zbiorową wystawę plastyki*. Pokaz otwarty w salach *Muzeum Miejskiego* w Grudziądzu jest licznie odwiedzany przez społeczeństwo miasta.

Po urządzonej staraniem oddziału toruńskiego ZPAP i Kuratorium O. Szk. arcyciekawej *„wystawie dziecka"* otwarto w *Domu Plastyków* w Toruniu wystawę zbiorową prac art. mal. Bronisława Jamontta, profesora Wydz. Sztuki UMK. Wystawę (o której prof. J. Hoppen pisze w bież. numerze) zorganizował oddz. toruński ZPAP z okazji jubileuszu 35-lecia działalności artysty.

W *Pomorskim Domu Sztuki* w Bydgoszczy miała miejsce wystawa prac Jerzego Rupniewskiego, zorganizowana również z okazji jubileuszu — z inicjatywy i staraniem Wydawnictwa *Trybuna Pomorska* oraz oddz. bydgoskiego ZPAP. Wielkim powodzeniem cieszyła się w Bydgoszczy wystawa poprzednia — rysunków J. Simon-Pietkiewiczowej *(„Kobiety z Ravensbrück")*, o której mowa na str. 19 bież. numeru *Arkony*.

Na dzień 2 czerwca zapowiedziano otwarcie *Salonu Wiosennego* ZPAP oddz. bydgoskiego w *Pomorskim Domu Sztuki* w Bydgoszczy.

Zbiorowa wystawa plastyków pomorskich, na którą składają się prace 43 art.-plastyków — w swej pożytecznej wędrówce po ziemiach pomorskich — w pierwszych dniach czerwca br. (po Olsztynie i Grudziądzu) wyląduje we Włocławku.

t.

LIST ZE SZCZECINA

Szczecin, w maju.

Problem teatrów szczecińskich ciągle jeszcze pozostaje otwarty, a że zagadnienie to już dość długo czeka na jakieś ostateczne rozwiązanie, zdołało urość do rozmiarów „sprawy". Interesuje się nią Miejska Rada Narodowa i Zarząd Miejski, Wojewoda i Naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki. Jedni rozdzierają szaty nad repertuarem teatru *Komedia Muzyczna*, drudzy biadają nad spłycaniem poziomu wykonania scenicznego sztuk w Teatrze im. Mariana Buczka (dawniej *Mały*). Teatr ten ma być zwinięty bo nie jest konwencjonowany przez ZASP. *Komedia Muzyczna* jest konwencjonowana wprawdzie ale nie może utrzymać się bez subwencji, a tej nie dostaje, gdyż nie zachowuje wymaganej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki proporcji między repertuarem polskim a obcym. Przy tym wszystkim nic jeszcze nie wiadomo jak będzie wyglądała „sprawa" teatrów szczecińskich w przyszłym sezonie. Może wyglądać źle, a nawet bardzo źle. Zanim bowiem miasto zdecyduje się na umiastowienie *Komedii Muzycznej*, względnie objęcie obu teatrów — będzie już z pewnością za późno na angażowanie nowych sił do zespołu, co może fatalnie odbić się na zamierzonej poprawie „linii repertuarowej".

Tymczasem linia ta jest prowadzona w sposób mocno przypadkowy. Ostatnio repertuar układa się do gościnnych występów — bardzo dobrego zresztą — artysty krakowskiego, Artura Młodnickiego. Jego obecności zawdzięczamy *Subretkę* Devala, *Jana* Bus-Feketego i *Niebieskiego lisa* Herczega. Wszystkie te trzy spektakle zagrano doskonale, naprawdę na wysokim poziomie. Z wykonawców wymienić należy recytatorkę, panią Stanisławską, która po szczęśliwym debiucie scenicznym w roli pani Carrington w *Subretce*, drugą już rolą hrabiny Mariasy w *Janie* dowiodła, że może być dla teatru nie tylko pożytecznym ale i cennym nabytkiem. Pani Czosnowska zabłysnęła pełnią swego talentu jako Françoise w sztuce Devala. Była to jedna z jej najbardziej czarujących kreacji, pełna ciepła, temperamentu, świetnie utrzymana w dykcji z francuska wymawianego tekstu. Występująca gościnnie w *Niebieskim lisie* pani Tomaszewska-Młodnicka również reprezentowała grę wysokiej klasy, nacechowaną swobodą i ogromną naturalnością prowadzenia dialogu, ruchliwą mimiką twarzy, oraz wyrazistą grą spojrzeń, co jest dość rzadkim zjawiskiem na scenie. Bardzo dobrym Carrangtonem (Deval) i baronem Trillem (Herczeg) był Karczewski. Artyście temu, jego reżyserii, teatr dyr. Czosnowskiego zawdzięcza w znacznej mierze wysoki poziom sceniczny przedstawień. Na równi z kracją Czosnowskiej postawić należy jeszcze rolę prof. Paulusa *(Niebieski lis)* w wykonaniu Daszewskiego. Warto zaznaczyć, że oba teatry szczecińskie grają obecnie bez suflera. Jeśli zapowiedziane *Dwa teatry* Szaniawskiego zostaną wystawione na poziomie wykonawczym tych bezwartościowych literacko *Janów* i *Niebieskich lisów*, staną się nie tylko wielkim wydarzeniem teatralnym w naszym mieście ale i złagodzą nieco krytyczny sąd o repertuarze *Komedii Muzycznej*.

Teatr im. Mariana Buczka pod względem wykonania scenicznego ustępuje bardzo znacznie *Komedii*. Ostatnie trzy premiery: *Produkcja pana Brandta* Rojewskiego, *R. H. Inżynier* Winawera i *Śluby panieńskie* Fredry — stosunkowo nienajgorzej świadczą o doborze repertuaru. O ile jednak siły artystyczne teatru zdołały jako-tako pokonać trudności wystawienia dwóch pierwszych utworów, o tyle niezmiernie po amatorsku zagrane *Śluby* były niedźwiedzią przysługą oddaną kulturze teatralnej. Podobną *Klarę* i podobnego *Gustawa* możnaby wyobrazić sobie chyba jedynie w jakimś śnie koszmarnym. Z fredrowskiego cacka zrobiono bardzo tanią farsę. Nie wiadomo co lepiej: czy nie mogąc grać arcydzieł, dobrze wystawiać t. zw. lekki repertuar, czy kiepską grą zohydzać arcydzieła. Jeśli tak dalej pójdzie, Szczecinowi grozi poważne niebezpieczeństwo: *Komedia Muzyczna* stanie się teatrem rewiowym a *Teatr Mały* będzie w swym pudełku zapałek masakrował *Hamletów i Balladyny!* Ale miejmy nadzieję, że tak źle nie będzie. Dwie konferencje tetralne wysunęły wprawdzie projekt skartelizowania wszystkich trzech teatrów w jednolicie administrowany teatr wojewódzki, ale dyktatorskie te zapędy zostały powstrzymane przez Wojewodę. Ma być natomiast powołana Rada Repertuarowa. I słusznie.

Prowincja pomorska jest tymczasem domeną teatru słupskiego, o którego dyrektorze języki mieć nie przestaną. Tam, gdzie teatr ten nie dociera, a dotrzeć wszędzie nie może, rodzą się pomysły amatorskie w rodzaju *Nocy poślubnej*, czy *To mojej bobo*. Organizacja uczciwego teatru objazdowego jest dla województwa szczecińskiego sprawą szczególnie naglącą.

W Słupsku, tym drugim obok Szczecina ośrodku kulturalnym na Pomorzu Zachodnim, realną pracą odznacza się tamtejsze Towarzystwo Naukowe, skupiające poważną ilość miejscowej inteligencji. Drugą organizacją, rozwijającą na terenie Pomorza owocną i ożywioną działalność, jest Towarzystwo Przyjaciół Muzyki i Teatrów Ludowych, mającą przeszło 400 zespołów i chórów.

W Szczecinie ożywił się nieco *ruch odczytowy*. Wieczory autorskie mieli Józef Nacht-Prutkowski i Maria Antonina Boniecka (ciekawe fragremnty z powieści o „tułaczej Warszawie" pt. *Bezdomni*. Do konkurencyjnej pracy z Klubem Artystyczno-Literackim na polu odczytowym stanęła sekcja artystyczna *Teatru Małego* (prelekcja J. Berenta „Dwie służby poezji w obronie człowieka pracy Broniewski i Konopnicka). Nadchodząca kanikuła zdaje się nie przestraszać szczecińskiego *Klubu Literacko-Artystycznego*, który po dyskusji nad odczytem dyr. *Muzeum Miejskiego* Lecha Krzekotowskiego na temat „Społeczeństwo a sztuka", zapowiada wieczor prof. Konrada Górskiego, Szelburg-Zarębiny, Morcinka, młodego poety Witolda Wirpszy i innych.

Plastycy szczecińscy wespół z gdańskimi przygotowują *Wystawę Sztuki Wybrzeża*, mającą być jedną z atrakcji kulturalnych zbliżających się *Dni Szczecina*. Ten ostatni tydzień czerwca, z *Świętem Morza* jako punktem kulturalnym uroczystości, będzie doskonałą sposobnością do pewnego rodzaju przeglądu działalności ośrodków kulturalnych Szczecina.

Walerian Lachnitt.

Od Wydawnictwa

Zniechęcająca Czytelników, niemiła dla Wydawnictwa nieregularność w ukazywaniu się naszego miesięcznika — za którą wszystkich P.T. Czytelników najmocniej przepraszamy — wypływa z przyczyn zupełnie od Wydawnictwa niezależnych: powodują ją stale wzrastające trudności w otrzymywaniu odpowiedniego dla *Arkony* gatunku papieru. Jak się dowiadujemy, jest to ostatnio bolączka nie jednego dziś pisma.

KSIĄŻKA O POMORZU

STEFAN PAPEE: Walka Sienkiewicza o ziemie zachodnie. Poznań 1947. Nakł. Instytut Zachodni 8⁰, str. 86.

Studium Stefana Papée jest próbą spojrzenia na twórczość Sienkiewicza od strony jego stosunku do narodu i państwa niemieckiego. Obranie takiego tematu ma, oczywiście, genezę w niedawnym konflikcie niemiecko-polskim. Naogół zwykliśmy kojarzyć autora „Trylogii", posługującego się w pierwszym okresie swej twórczości chętnie pseudonimem *Litwosa*, z naszymi ziemiami wschodnimi i uważać powieść „Krzyżacy" za dość odosobniony wyraz jego zainteresowań Polską Zachodnią i jego negatywnego stosunku do Niemiec. Tymczasem dokładne prześledzenie wszystkich utworów, jak to uczynił Papée, wskazuje, że Sienkiewicz niemal od początku swej działalności zdradza niechęć do krzyżactwa i prusactwa, śledzi z uwagą los ludności polskiej pod zaborem pruskim i wskazuje na grozę niebezpieczeństwa niemieckiego. Świadczą o tym m. i. „Dwie drogi", „Listy z podróży", „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela", „Bartek zwycięzca", „Potop" (charakterystyka kurfirstra Fryderyka Wilhelma) poniekąd nawet (według T. Zielińskiego) „Quo vadis" (Ligia-Polska, tur-Niemcy). Kreśląc genezę „Krzyżaków", Papée słusznie związuje tę powieść z tłem historycznym, była ona bowiem odpowiedzią na antipolską politykę bismarckowską, równocześnie wyrazem żywotności narodu, który w ciężkim okresie systematycznego pod zaborem pruskim wyniszczenia żywiołu polskiego przypomniał sobie zwycięstwo grunwaldzkie: „Krzyżacy" to wywieszenie sztandaru wiary w ostateczne zwycięstwo. Prócz tego wielkiego dzieła sztuki Sienkiewicz występuje do walki z niemczyzną w artykułach, odezwach, „listach otwartych" („O gwałtach pruskich", „List otwarty do Wilhelma II", „Ankieta o wywłaszczeniu" i in.).

Dzieła Sienkiewicza są silnie związane z przeżyciami narodu. W złych i dobrych chwilach spełniały chlubnie swoje zadanie. A jaki jest ich sens na dzisiaj? Papée w wyniku swojej analizy stwierdza, że w stosunku do ziem Zachodniej Polski mają one nadal do spełnienia wielką misję. Wprawdzie Niemcy są pokonani, ale granica zachodnia wymaga stałej czujności i pogotowia. Wobec tego *„wraz z polskim żołnierzem,rolnikiem i robotnikiem, wraz z polskim nauczycielem powinna iść na Ziemie Odzyskane i polska książka, zwłaszcza książka Sienkiewicza. Pilna lektura Sienkiewicza na zachodniej granicy Polski to najlepsza gwarancja, że straż nad Bałtykiem, nad Odrą i Nysą dobrze wypełni swe doniosłe zadania".*

ALODIA KAWECKA-GRYCZOWA: Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich. Warszawa, 1946, Państw. Zakł. Wydawnictw Szkolnych. 8⁰ str. 115.

Autorka pisze w „Słowie wstępnym": *„Zarys piśmiennictwa" nie ma zamiaru przynosić nowego, źródłowego opracowania naukowego. Czerpie obficie z literatury (dosyć zresztą skąpej) przedwojennej na ten temat, opiera się zaś przede wszystkim na kilku podstawowych publikacjach: Sukertowej, Kota, Weintrauba, Mocarskiego . . ."* Powinna by jeszcze dodać: Warmińskiego, gdyż jego monografa o „Andrzeju Samuelu i Janie Seklucjanie" poważnie zaciążyła na pierwszym bardzo obszernym rozdziale, omawiającym *„pełnię związków kulturalnych"* w wieku XVI. Dalej autorka długo tłumaczy się, wcale nie przekonywająco, dlaczego obrała za temat jedynie piśmiennictwo mazurskie (a raczej ściślej: piśmiennictwo polskie na terenie dawnych Prus Książęcych), a wyłączyła Warmię; mimo to ma odwagę postawić w tytule termin „Prusy Wschodnie", bo rzekomo *„zadomowił się w naszej nauce i literaturze"*, bo *„utarł się (?!) mimo swej nonsensowności w dzisiejszym* (sic) *układzie politycznym"*. Tak oto sam wstęp ogromnie nie zachęca do tej kompilacji, świadczącej o tym, że autorka nie wżyła się niestety ani w przedmiot, ani tym bardziej — w opisywany teren. W układzie dzisiejszych stosunków wykrojenie i przemilczenie Warmii jest poważnym w tego rodzaju pracy okaleczeniem obrazu i błędem nie do darowania, tym więcej że Ministerstwo Oświaty zakwalifikowało ją jako „książkę pomocniczą, poleconą do bibliotek szkolnych". Rezultat metody p. Kaweckiej-Gryczowej jest ten, że np. obszernie charakteryzuje działalność księcia Albrechta, ale ani słowem nie wspomina Kopernika, oczywiście, nie wymienia także biskupów warmińskich, a wśród nich Ignacego Krasickiego, nie mówiąc już o plejadzie ludowych pisarzy warmińskich XIX i XX wieku. Natomiast dla wzbogacenia swego obrazu mazurskiego włącza Rajnolda Heidensteina i to dlatego tylko, że jego przodkowie mieli wywodzić się z Prus Wschodnich. Tak samo ponad uzasadnioną miarę omawia działalność Mrongowiusza, który (poza swoim mazurskim pochodzeniem) należy niemal w całości do piśmiennictwa „Prus Zachodnich", tj. do Gdańska. — Itd.

Końcowy wniosek nasuwa się taki: Sprawa opracowania syntetycznego obrazu piśmiennictwa polskiego na terenie b. Prus Wschodnich jest nadal otwarta i czeka na autora, który nie potraktuje jej jako zapełnienie pilnej luki, lecz w oparciu o szerokie studia stworzy obraz, wynikający organicznie z całości tamtejszych stosunków na przestrzeni dziejów.

KALENDARZ dla Mazurów i Warmiaków na rok 1947. Olsztyn 1947. Nakł. Instytut Mazurski 8⁰ s. 96.

Wznowienie przedwojennych „Kalendarzy" ma niepoślednie znaczenie dla ludu polskiego na Warmii i Mazurach, lud ten zżył się bowiem z tą formą książki, zawierającej najpotrzebniejsze wiadomości. Dla większości była to i jest zapewne i dzisiaj jedyna dostępna strawa książkowa. Z tego względu redakcja Kalendarza (p. Emilia Sukertowa-Biedrawina) dołożyła starań, ażeby treść z jednej strony odpowiadała upodobaniom ludu, z drugiej — ażeby zbliżyła go do narodu i państwa polskiego. Za szczęśliwe podejście należy uznać to, iż przy doborze tekstów obficie czerpano z regionalnej literatury. Na przyszłość wydaje się rzeczą pożądaną uzupełnić materiał regionalny pięknymi tekstami z literatury ogólno-polskiej, ażeby w ten sposób rozbudzać u Mazurów i Warmiaków miłość dla naszej kultury narodowej.

ab.

PRZEGLĄD PRASY

Zwracaliśmy już swego czasu uwagę czytelników na ankietę rozpisaną przez *Twórczość* — na temat: *„Jak oceniam literaturę dwudziestolecia"*. Do głosów wówczas wyliczonych doszły w międzyczasie wypowiedzi Wojciecha Bąka, Jarosława Iwaszkiewicza, Juliusza Kleinera, Stefana Lichańskiego, Ryszarda Matuszewskiego, Zofii Starowiejskiej-Morstinowej i Juliana Przybosia. Wachlarz *sądów nad dwudziestoleciem* jest szeroki — jak rozpiętość artystycznych przekonań i światopoglądów pisarzy wypowiadających w ten sposób swe *credo*, — ale nie trudno byłoby zdaje się mimo wszystko uzyskać większość podpisów dotychczasowych *sędziów przysięgłych* pod głos np. Iwaszkiewicza, gdy mówi, że „nie powinniśmy odwracać się od tamtych czasów. Przeciwnie, wartości kulturalne są jak domy, a domy przyszłości winny być solidnie podmurowane. Nie należy przerywać węzłów tradycji — zwłaszcza u nas. Przypatrzywszy się bliżej „dwudziestoleciu" widzimy, że *jest do czego nawiązać*".

Lektura ostatnich zeszytów *Twórczości*, jej działu krytyk literackich, potwierdza dalsze stwierdzenie Iwaszkiewicza, z cytowanej już wyżej oceny: „Wydaje mi się, że niewątpliwy rozkwit prozy polskiej, jaki obecnie przeżywamy, jest pozytywnym wynikiem pracy literatów dwudziestolecia. Uważam to trwanie (pisarzy dzisiejszych) w ogólnym nurcie literatury polskiej i wnoszenie nowych wartości bez zrywania z tradycją pisarską, za zjawisko dodatnie". Takim nad wyraz dodatnim zjawiskiem na łamach *Twórczości* jest stale rozrastający się dział krytyk literackich, dla którego Kazimierz Wyka potrafił zyskać tyle piór, że z każdym numerem, przybywa szereg nowych, ważnych omówień najnowszej twórczości. Zamieszczony w nr. 2-gim świetny szkic Koźniewskiego o wojennym pisarstwie Ksawerego Pruszyńskiego wykracza już poza ramy zwykłej recenzji literackiej.

Zainteresowania *Twórczości* nie kończą się jednak na problemach literatury; to z czym spotkać się można na łamach tego *wytwornego* miesięcznika krytycznego z innych sfer zjawisk kultury — jest zawsze na poziomie najwyższym. Tak jest ze sprawami plastyki (w n-rze 4-tym czterogłos o *ogólnopolskim salonie zimowym w Krakowie!*), nawet muzyki. Szkic Stefana Kisielewskiego (nr 4) *„O twórczości Karola Szymanowskiego"* jest bodajże z dotychczasowych najgłębszą, najpełniejszą próbą określenia granic wielkości tego zjawiska kultury. Zdumiewa wstrzemięźliwość, prawie surowa trzeźwość w sądach, jakże daleka od niektórych ogólnikowych wypowiedzi rocznicowych. Kisielewski widocznie oddziela zagadnienia *popularyzacji* pojęcia *„Szymanowski"* i związanej z tym konieczności akcji *propagandowej*, — od *ściśle krytycznej* oceny, nie dbającej o zarzut umniejszania uznanych geniuszów.

Parę nowych *Szymanowscianów*, (między inn. ocalały drobny fragment powieści Szymanowskiego) przyniosły dotychczasowe numery *Nowin Literackich*. Właściwie od *Nowin* — czyli najznaczniejszego wydarzenia w życiu literackim ostatniego czasu — należało ów przegląd prasy rozpocząć. Ale wcale nie łatwo powiedzieć coś ciekawego o tym piśmie dziś — w dwa przeszło miesiące po ukazaniu się pierwszego numeru. Poprostu, tyle powiedziano już w międzyczasie o tym powojennym wydaniu *Wiadomości*, — że mimo woli trzeba powtarzać innych: że z dość znacznym, choć nie zawsze równym powodzeniem usiłuje zająć w naszym czasopiśmiennictwie literackim przedwojenną pozycję tychże *Wiadomości*, że wytworna szata graficzna pisma jest godna zazdrości — natomiast nie do pozazdroszczenia brak działu recenzji wydawniczych. Że pismo cechuje przerost aktualności ze szkodą dla zagadnień czysto literackich. że *kronikę tygodniową* Słonimski robił lepiej... Ale to wszystko *szukanie dziury w całym*. *Nowiny* czyta się zawsze z prawdziwym zainteresowaniem i podziwem dla redaktora, który w tak krótkim czasie zdobyć potrafił (dzisiaj, gdy szereg pism zaczyna już drugi nawet trzeci i czwarty rok istnienia!) — krąg bądź co bądź w dużym stopniu *nowych* stałych współpracowników. Już pierwsze numery pokazały, że *Nowiny* nie zamierzają patrzeć na zjawiska nowego życia kulturalnego wyłącznie przez szkła stołeczne; szkoda, tylko, że np. z humorem skreślony felieton Janusza Stępowskiego o *narodzinach środowiska* na Gdańsko-Gdyńskim Wybrzeżu — właściwie tak mało powiedział.

Szczególne zainteresowanie rejonami pozastołecznymi, czyli tzw. *prowincją* (w najściślejszym, najprzykrzejszym znaczeniu tego słowa) objawiło ostatnio *Odrodzenie* ogłaszając nowy, szczęśliwie pomyślany konkurs na temat *„Miasteczko polskie roku 1947"*. Słuszne są słowa A. Wata, tłumaczące inicjatywę redakcji: „Uwaga naszej literatury, naszej prasy i opinii publicznej skupia się prawie wyłącznie na kilku największych miastach i na zagadnieniach wsi. Tymczasem mniejsze miasta i miasteczka, w których żyją i pracują miliony Polaków, które uległy i ulegają przemianom nie mniej zasadniczym niż inne ośrodki, a może i bardziej widocznym — wypadły całkowicie z pola widzenia. Na mapach naszej współczesnej literatury miasteczko stanowi białą plamę". Konkurs z pewnością wyłowi parę nowych talentów. Nie zmieni niestety faktu istnienia innej *białej plamy* — dotkliwej anemii życia kulturalnego miasteczek polskich.

mit.

Wydaje: ZESPÓŁ „ARKONY" W BYDGOSZCZY. *Redaguje:* KOLEGIUM. *Redaktor Naczelny:* MARIAN TURWID.
Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8. *Konto bankowe:* Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224. PKO nr VI-271.
Prenumerata i kolportaż: Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ul. Jagiellońska 31.
CENA 20 ZŁOTYCH. Drukarnia Polska Spółdzielni Wydawn. „Zryw" z o. u., Bydgoszcz 2058 E-36064